

PRZE KROJ

NR 2 (3471) / 9 STYCZNIA 2012 / CENA 3,99 ZŁ

WWW.PRZEKROJ.PL

w tym 8% VAT

Sierakowski:
Miłosz-fiction

Trzeba ZABIĆ
tą Brzeską

PORTUGALIA - nowa
polityka narkotykowa

DLA
PRZE
KROJU: Joyce, Woolf,
Cwietajewa Tagore,

PISZA
DLA NAS:

Anna
Grodzka

Przemysław
Wielgosz

Adam
Ostolski

JESTEŚMY GŁODNI NOWYCH KOMIKSÓW!

INDEXS
71424



02 >



Gorący Kubek

SCENKI ZE SMACZKIEM!

ZWYCIĘZCĄ KONKURSU "GORĄCY KUBEK DO KANAPKI" JEST JAROSŁAW GORGON



Zwycięzcy gorąco gratulujemy i czekamy na nowe komiksy!



Gorący Kubek

A TERAZ... WEŹ UDZIAŁ W NOWYM KONKURSIE NA FEJSIE!

KTO SIĘ NAJLEPIEJ SPISZE, TEN WYGRA TORBĘ MIEJSKĄ ZE SWOIM KOMIKSEM!



Napisz zabawną scenkę sytuacyjną dla Gorącego Kubka i Kanapki. Jeśli przypadnie ona do gustu internautom, a następnie naszemu jury, możesz wygrać miejską torbę z wymyślonym przez siebie komiksem!

SZUKAJ NAS NA WWW.FACEBOOK.COM/GORACYKUBEK

Konkurs trwa od 9 do 22 stycznia 2012 r.

JESTEŚMY GŁODNI NOWYCH KOMIKSÓW!



ROMAN KURKIEWICZ

Odzyskujemy przyszłość

Widmo zmiany krąży nad światem, Europą i na szczęście, choć powoli, ospale i ociężale – nad Polską. Trzeba bardzo nie chcieć tego zobaczyć, żeby nie widzieć. Demokracja cierpi na bezruch i choroblivość „postpolityczne” otłuszczenie, ekonomia bogatego świata północy musi wyjść krytycznie poza swoje neoliberalne dogmaty, nowe przestrzenie naszych aktywności, niezaspokojonych dążeń i marzeń muszą się zaludnić.

Znamy narzędzia współczesnej humanistyki, kultury, filozofii oraz socjologii i nie zawahamy się ich użyć do wyrażenia naszych racji. Nie będziemy się wstydzić mówienia o problemach wykluczenia ekonomicznego, społecznego, edukacyjnego, kulturowego. Będziemy hołubić niepokorne ruchy społeczne, korzystając z siły reportażu społecznego, przestrzeni wolnej kultury. Chcemy „Przekrój” redagować ze środowiskami, pismami, portalami i głosami, które od lat robią to w swoim imieniu. Chcemy na nowo nadać treść słowom: „wspólnie”, „razem”, „w porozumieniu”. Będziemy wietrzyć słowa, idee, projekty. Nie obawiamy się chcieć, marzyć, wymagać i żądać. Chcemy innej przestrzeni do życia, nauki i pracy. Chcemy odzyskać przestrzeń publiczną, sferę wspólnego dobra, a nie wyłącznie umocnić się w egoistycznym paradygmacie wszechzabawczego zysku i wzrostu PKB.

W nowym „Przekroju” będziemy te zmiany opisywać, rozprawiać o nich, współtworzyć je i walczyć o nie. Innym głosem i proponując własne hierarchie, upomniemy się i będziemy pytać, żądać, wymagać, kontrolować. Będziemy niewyparzoną gębą nadchodzących przewartościowań. „Przekrój”

będzie się narażał na rechot. Ale każdy, kto w tym kraju jest odmienny, nienormatywny, zmarginalizowany, lekceważony z powodu swojego statusu społecznego, płci, koloru skóry, miejsca czy daty urodzenia, tożsamości seksualnej, wrażliwości na gwałcenie praw innych, problem przemocy wobec kobiet, dzieci, upominania się o prawa zwierząt; każdy, kto chce energii raczej zielonej niż czarnej i łupkowej, innych priorytetów w polityce społecznej; każdy, komu nie odpowiada nasza służalcza wojenkowość – naraża się na pogardliwość. Odpowiemy śmiechem, złościwością i merytorycznością.

Nie stworzymy mediów od nowa, ale postaramy się odnowić ich podstawową, „przekrojącą” rolę i zadanie: patrzenie władzy na ręce, zasadę ograniczonego zaufania wobec deklaracji, wobec instytucji.

Czy „Przekrój” będzie polityczny? Nie może nie być, jeśli nawet pierogi w warszawskim odzyskanym barze mlecznym okazały się najgroźniejszym terrorystycznym atakiem końca 2011 r. Wszystko jest polityczne, poza życiem partii politycznych. Będziemy pisać o polityce rzeczywiście: edukacyjnej, narkotykowej, praw człowieka, wartości praw podstawowych. Będziemy żądać od polskich władz respektowania, a nie ograniczania naszych praw do wolności – czy tej na ulicach, czy tej w Internecie. Pierogi, w tym ruskie, tak! Czolgi, tortury i przemoc ekonomiczna – nie! Chcemy więcej równości, więcej wolności, więcej sprawiedliwości. Śmieszne, najważniejsze, rozczulające? Może zbyt długo odstawialiśmy te pytania do kąta. Zachowując proporcje, przywołajmy Gandhiego, który mówił o swoim ruchu: najpierw nas nie zauważają,

potem się z nas śmieją, następnie się nas boją, a potem wygrywamy. „Przekrój” chce być głosem zmiany, którą niektórzy nazywają zmianą modernizacyjną. Będziemy szukać własnych słów. Bo modernizacja ma wiele imion i nie muszą nimi być wyłącznie autostrady, stadia, sprywatyzowane miasta i ich przedsięwzięcia. Chcemy własnego życia w publicznej przestrzeni, chcemy nowej edukacji, nowej ekologii, ekonomii. Chcielibyśmy, żeby nowo redagowany „Przekrój” był opowieścią o energii i treściach zmiany politycznej. Politycznej, ale głębokiej, nie partyjnej, wolnościowej, emancypacyjnej, nowoczesnej, równościowej, ale nie doktrynerskiej. Nasze imię to wielość, to głos ruchu ruchów, to różnorodność.

Scena polityczna w Polsce często określana jest mianem zabetonowanej. Wejście do Sejmu posłanek takich jak Anna Grodzka (od tego numeru nasza autorka!) i Wanda Nowicka czy posła Roberta Biedronia z Ruchu Palikota jest odpowiednią na głód autentyczności w polityce. Będziemy obserwować, czy za faktem wejścia w tę przestrzeń instytucjonalną idzie realne odświeżenie metody uprawiania polityki. Trzymamy kciuki, ale gdy będzie trzeba, pogrozimy palcem, zachowamy tu rewolucyjną czujność!

W samym słowie „przekrój” jest możliwość zobaczenia czegoś niepowierzchnowego, jest ostrość narzędzia, które pozwala się do tego oglądu, wbrew oporowi materii, systemu, struktur – dostać. I taki będzie nowy „Przekrój” już wkrótce. Ale ostro zaczynamy od razu. Chcemy, żeby nowy „Przekrój” dawał do myślenia. Zapraszamy do jego współtworzenia!

SPIS TREŚCI:

PRZED W SZYSTKIM

- 4 Maciej Konieczny **Wszystkich nas nie spalicie**. Wspomnienie o Jolancie Brzeskiej
- 7 Adam Ostolski **Naprzód!**
- 8 Matylda Głowacka **Zdrowy, przystojny w strzykawce**
- 10 Piotr Laskowski **Bunt w Bytomiu**
- 12 Z byłym ministrem zdrowia **Markiem Balickim** rozmawia Sylwia Szparkowska
- 13 Przemysław Wielgosz **Euro – urodziny czy stypa?**
- 14 Sławomir Sierakowski **Po co Miłosz napisał powieść science fiction?**
- 17 Anna Grodzka **Z drugiej strony lustra**
- 18 O narkotykach w Portugalii z socjologiem **Nuno Capazem** rozmawia Michał Sutowski

CYWILIZACJA

- 22 Paweł Franczak **Co sprawia, że wygrywamy**
- 25 **Też Pytania!**

KULTURA

- 26 Ola Salwa **bez zachwytu o „Dziewczynie z tatuażem”** Finchera
- 30 **Z Urszulą Antoniak**, reżyserką „Code Blue”, o bliskości, która rodzi się w obliczu śmierci, rozmawia Ola Salwa

OTWÓRZ OCZY

- 32 Stanisław Rajewski **Toniemy w tonach śmieci**
- 36 Jan Mejor o **Domenie Publicznej**

RECENZJE

- 40 **Film:** Salwa o „Musimy porozmawiać o Kevinie”
- 42 **Muzyka:** Skolimowski o Guided By Voices
- 43 **Książki:** Sendecki o ostatnim tomie „Dzienników” Iwaszkiewicza
- 44 **Teatr:** Wakar o „Turystach”

ZAWSZE W PRZEKROJU

- 45 **Stopklatka**
- 46 – 48 **Rozmaitości z krzyżówką**, Lewomyślnie Kurkiewicza, ładnymi rzeczami Salwy
- 3, 25, 48 **Raczkowski**



PRZEKROJ

Złożył w roku 1945 w Krakowie redaktor Marian Elle

„Przekrój” w sieci

OLAF SZEWCZYK

– Polityka kreowania wizerunku naszej partii jest jak cebula, koleżanki i koledzy – rzekł podejrzanie cichym jak na siebie tonem Doświadczony Działacz. – Ma warstwę? – wyrwał się Stasiak Bronzożur, aktywista młodzieżówki, który jako jedyny na zjeździe nie wybuchł, co się kroci. – Jak Shrek? – Niezupełnie. Chodzi o to, że jak się nad nią pochylić, to płakać się chce!!! – wybuchnął D.D. – Co to niby ma być?! Pablik rilejszyn nie polega na ordynarnym kopaniu po mózgu, jak u tych pałkarzy z wPotylice.pl czy innego prawicowego tabloidu! Nasi wyborcy nie lękają wszystkiego jak pingwin lody! Nawet populizm, do kroćset, wymaga finezji!

Tu działacz przerwał, by wodą gardła zdarte ukoić. A na sali obrad jak makiem zasiał. – Mieliliśmy jasną strategię: jak ktoś z naszych coś kompletnie zawałił, na przykład resort zdrowia, przesuwaliśmy gdzie indziej, awansując, że niby za zasługi. Następca – też nasz człowiek – miał szansę zyskać punkty, naprawiając to, co spieprzył poprzednik, bo nie jest trudno odbić się od dna, a niżej – tak się nam przynajmniej zdawało – upaść nie sposób. Przypominam, że gramy pod szyldem „rząd fachowców”. Jak się do tego ma wyrzucanie kompetentnych urzędników, którzy – co ludzie widzą – odnieśli rzeczywiste sukcesy? Po jaką cholere wylaliśmy kobietę, która wywalczyła niższe stawki za telefon i Internet? Bo ja nie pojmuję! Na co nam ta katastrofa wizerunkowa?

– Akcja „Zwalnianie awansem” zawiodła, szefie – nie miało piśnięć Stasiak. – Nikt tego nie kupił. Teraz próbujemy przekonać, że wylatują ci, którzy naprawdę coś potrafią i mają zasługi. Dzięki temu, gdy sami wylęcimy na pysk, będziemy mogli liczyć na dobry wynik w wyborach. Szczegółowo strategii PR Partii Fachowców na FB, Twitterze, G+, www.przekroj.pl, tablecie Galaxy.

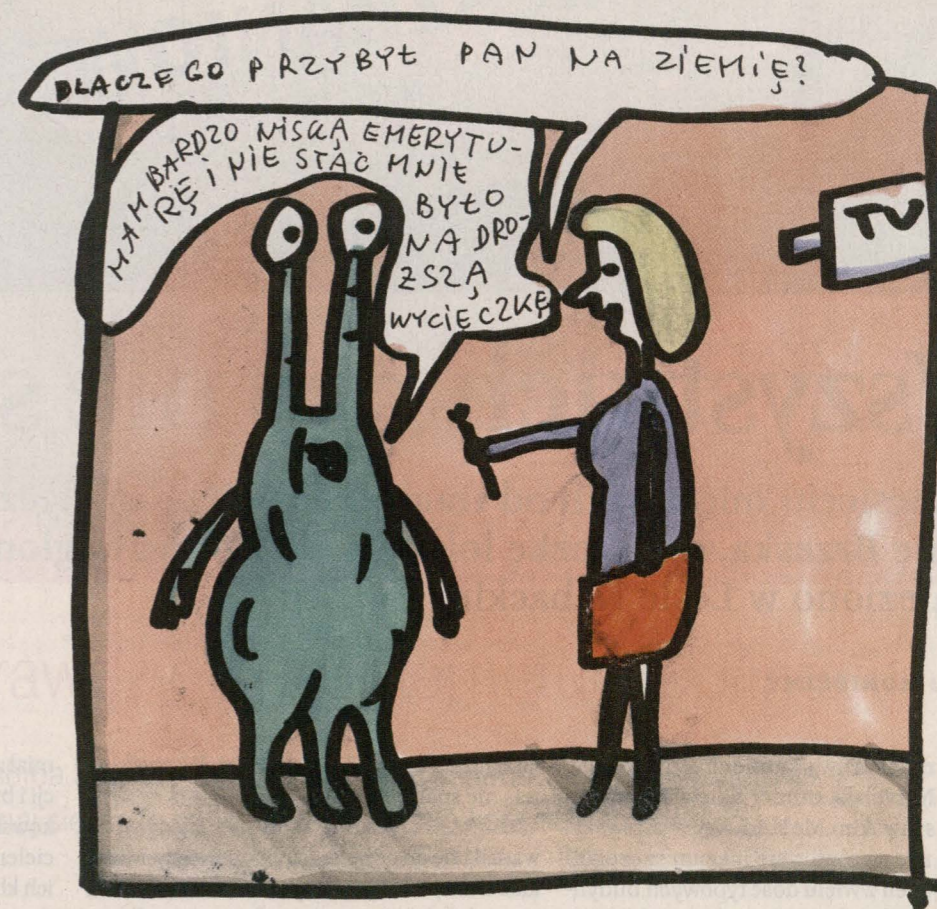


Komentuj: redakcja@przekroj.pl

NIE PISZEMY O TYM, O CZYM W TYM ROKU PISAĆ NIE BĘDIEMY

- ... że będzie koniec świata.
- ... że nie będzie końca świata.
- ... że Jezusek lubi wzrost PKB, o czym jest przekonany niejaki pan Knabit, benedyktyn.
- ... ilu pijanych kierowców zatrzymała drogówka z okazji każdego święta kościelnego i państwowego.
- ... co jeden pan polityk drugiemu panu politykowi.
- ... co kto ówarza albo i nie ówarza.
- ... co Adam, bo nadchodzi czas na to, co Ewa.
- ... co tym razem napisali w kolejnym przemówieniu ministra Radka Sikorskiego sprywatyzowani byli tzw. dyplomaci brytyjscy. Bo przecież mógłby poprosić nasz oksfordczyk o pomoc swoją żonę.
- ... co jest najważniejsze lub dłużej wcale nie jest najważniejsze.
- ... o czym szumią wierzyby.
- ... co się będzie działo podczas Euro 2012. Bo co się ma dziać?
- ... że Polacy wygrali albo przegrali, że w tym roku narodową dyscypliną jest skok w dal przez pustynię autem terenowym.
- ... że Polacy są zadowoleni.
- ... że parytet się nie sprawdził, a Kościół jest ok.
- ... że jest nowocześnie.
- ... że jest tradycyjnie.
- ... że jest nie do ruszenia.
- ... że nie ma co.
- ... że po co.
- ... że nie warto.
- ... że się nie uda.
- ... że jesteśmy skazani na Sukces, bo jesteśmy też skazani na Rzeczpospolitą i tak dalej, i tak dalej

MAREK RACZKOWSKI



LAST MINUTE KRZYSZTOF PŁYTA

Czego symbolem w 2012 roku mogą być złoto, kadzidło i mirra? Bańki spekulacyjnej, wzrostu emisji CO₂ i awantury o recepty.

PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI: ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00; automatyczna centrala telefoniczna: 22 4630 + numer wewnętrzny; łączenie przez telefonistkę 22 628 34 01 do 09, www.przekroj.pl, e-mail: redakcja@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl REDAGUJE ZESPÓŁ: Roman Kurkiewicz (redaktor naczelny), Piotr Wittek, Joanna Grochowska, Katarzyna Czarnecka PRZED W SZYSTKIM: wydawnictwo@przekroj.pl, Łukasz Wójcik, Agnieszka Fiedorowicz, Joanna Woźniczko-Czeczott, Joanna Dargiewicz-Rozeł, Agata Jankowska, Marcelina Szmer CYWILIZACJA OD ŚRODKA: nauka@przekroj.pl, Olaf Szewczyk, Paweł Franczak KONIEC I KULTURA: kultura@przekroj.pl, Jacek Tomczuk, Jacek Wakar, Karolina Pasternak, Kuba Dąbrowski, Łukasz Drewniak,

Sebastian Frąckiewicz, Mariusz Herma, Anna Jastrzębska, Ola Salwa, Jacek Sieradzki, Bartek Winczewski ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI: rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk; stale współpracuje Kaliber 45 PRACOWNIA GRAFICZNA: Wojciech Brdej, Andrzej Figatowski, Maciej Słusarczyk FOTODYDZIA: foto@przekroj.pl, Monika Szewczyk KOREKTA: Jadwiga Marculewicz-Olas, Anna Zalewska PROJEKT GRAFICZNY: Kasper Skirgajło-Krajewski ARCHIWUM: Dominika Bok OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Paweł Wójcik STRONA INTERNETOWA I IPAD: Marcin Cichoński, Renata Wróbel



Okładka: Wojciech Piechoński

PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”
PRENUMERATA REDAKCYJNA
Cena prenumeraty 2012 r.:
Roczna: 166,40 zł, półroczna: 83,20 zł, kwartalna: 41,60 zł
Zamówienie na prenumeratę należy składać:
e-mail: prenumerata@przekroj.pl lub faxem: 22 621 22 62
Dodatkowe informacje pod nr. tel. 800 120 195
PRENUMERATA KOLPORTERSKA
oddziały Ruch SA, www.prenumerata.ruch.com.pl, urzędy pocztowe
PRENUMERATA E-WYDANIA
www.egazety.pl
PRENUMERATA ZAGRANICZNA
Ruch SA www.ruch.pol.pl; 22 693 67 75, 22 693 67 82, 22 693 67 18

DOSTĘP NA STRONĘ WWW I WERSJĘ NA IPADA

Cena abonamentu na iPad i w Internecie: tygodniowy – 3,69 zł, kwartalny – 30,75 zł; roczny (z rabatem 30 proc.) – 99 zł. Do wykupienia na www.przekroj.pl oraz w App Store. Informacje: wsparcie@przekroj.pl

WYDAWCA: Presspublica Sp. z o.o. ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa PREZES ZARZĄDU: Dariusz Leśniak WICEPREZESI: Maciej Kutak, Tomasz Wroblewski PROMOCJA I MARKETING: promocja@przekroj.pl, Jakub Maszkowski, Milena Ostólska BIURO REKLAMY: Presspublica Sp. z o.o. ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00; automatyczna centrala telefoniczna: 22 4630 + numer wewnętrzny; łączenie przez telefonistkę 22 628 34 01 do 09 KIEROWNIK ZESPÓŁU SPRZEDAŻY: Filip Weichert – 22 463 01 88 reklama@przekroj.pl druk: RR Donnelley. Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian oraz skrótów w nadesłanych artykułach i listach.



Marsz milczenia w dniu pogrzebu Jolanty Brzeskiej

mgr. Kuba Kamiński

Wszystkich nas nie spalicie

Po dziesięciu miesiącach od tragicznej śmierci, 3 stycznia pochowano Jolantę Brzeską, działaczkę lokatorską, której zwęglone zwłoki odnaleziono w Lesie Kabackim

MACIEJ KONIECZNY

Trzydziętowa kamienica przy ulicy Nabelaka numer dziewięć na warszawskim Mokotowie na pierwszy rzut oka nie wyróżnia się niczym szczególnym. To jeden z wielu dość typowych budynków mieszkalnych rozsianych po całej Warszawie. Na frontowej ścianie na prawo od wejścia dostrzec można niecodzienne graffiti. Nie ma żadnych klubowych emblematów, atrakcyjnych ciał ani stylizowanych podpisów. Szablon przedstawia po prostu twarz starszej kobiety w okularach. Towarzyszy

jej napis „Pamięci Joli Brzeskiej. Wszystkich nas nie spalicie”.

Jolanta Brzeska miała trzy lata, kiedy wprowadziła się do odbudowanej kamienicy. Mieszkała w niej całe życie, aby w końcu dowiedzieć się, że lokal, którego sama nikomu nie odbierała, ma teraz oddać, a całe jej życie w tym domu mniej znaczy niż abstrakcyjne reguły prawne i kawałek papieru. O budynek upomniwały się córki przedwojennego właściciela i w końcu odzyskały go za pomocą Marka Mossakowskiego, byłego antykwarysty, który niebawem

miał zasłynąć jako specjalista od reprivatyzacji i brutalnych rozpraw z lokatorami. Mossakowski szybko z reprezentanta stał się właścicielem kamienicy, ponieważ odkupił od swoich klientek udziały. Równie szybko przystąpił do opróżniania budynku z niechcianych lokatorów. Umowa najmu Jolanty Brzeskiej wygasła, w związku z czym zobowiązana była płacić drastycznie podniesiony czynsz stanowiący niemal dwukrotność jej emerytury.

Nękana nieustannie przez nowego właściciela budynku i coraz bardziej zadłużona

Najtańsze laptopy tylko w T-Mobile.



od **89 zł** miesięcznie

Laptop Toshiba Satellite C660

Przyjdź i sprawdź ofertę Internetu mobilnego.

Nowoczesny laptop Toshiba Satellite C660, a do niego najtańsza oferta internetowa. Przyjdź do nas i przekonaj się, że to najlepsze połączenie korzystnych cenowo ofert na rynku.

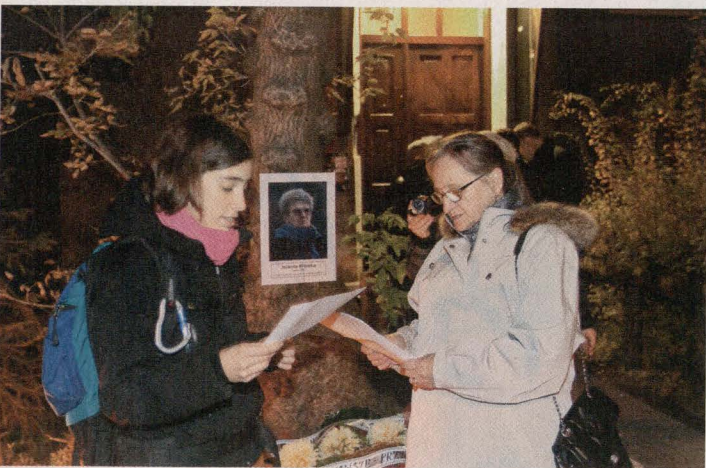
Chwile, które łączą.



Informacja aktualna na dzień 04.01.2012, dotyczy wybranych modeli laptopów w ofercie „Blueconnect z netbookiem/laptopem” oraz „Blueconnect z netbookiem/laptopem na raty” w T-Mobile, w taryfie blueconnect 99. W przypadku oferty ratowej, dotyczy wysokości pierwszej wpłaty. Dotyczy ofert ogólnodostępnych oraz innych niż sprzedaż na odległość i poza lokalnym przedsiębiorstwem. Nie dotyczy cen niepromocyjnych i cen poniżej 1 zł. Szczegóły oferty dostępne są na www.t-mobile.pl oraz w sklepach T-Mobile.



Warszawska ulica – mural z podobizną Jolanty Brzeskiej



Dzień przed 1 listopada 2011 r. działaczki Komitetu Obrony Lokatorów, najbliżsi i sąsiedzi uczcili pamięć Brzeskiej



3 stycznia 2012 r. – msza żałobna przed pogrzebem Jolanty Brzeskiej

Przedwczesny prima aprilisowy



ADAM OSTOLSKI

Nie leżało dotąd w polskiej tradycji zapowiadanie z góry dowcipów na prima aprilis. Zwłaszcza przez konserwatystów. Cóż, Zbigniew Ziobro i Ludwik Dorn okazali się konserwatystami innowacyjnymi. Zapowiadając mobilizację miliona ludzi w naszej części Europy w celu zawieszenia unijnego pakietu klimatycznego, wykazali się dowcipem na tyle bogatym, że na te kilka miesięcy czy starczy.

Ironia tkwi bowiem w tym, że to właśnie euroscceptycy zapowiedzieli, iż 1 kwietnia jako pierwsi odwołają się do nowego narzędzia demokracji bezpośredniej na poziomie unijnym, jakim jest Europejska Inicjatywa Obywatelska. Że to właśnie przeciwnicy traktatu lizbońskiego zrecznie wykorzystują nową sytuację, jaką stworzył. Że to konserwatyści najbardziej lekkomyślnie narażają na szwank dobro wspólne.

Propozycja liderów Solidarnej Polski to jednak nie tylko pokaz demagogii. To również apel o poważne potraktowanie idei demokracji, rozumianej jako liczenie się z głosem ludu. Debata nad tą propozycją może

być dla ekologów okazją do przedstawienia opinii publicznej swoich racji (o ile zostaną w końcu dopuszczeni do głosu).

Argumentacja Ziobry, Dorna i Kurskiego oparta jest na szeregu półprawd. Mówiąc, że wprowadzenie pakietu będzie kosztowało Polskę ponad 100 mld zł, zapominają, że ten wydatek nie jest stratą, lecz inwestycją. Jeśli wydają jakąś kwotę na komputer lub maszynę, na której pracują, to nie tracą tych pieniędzy, lecz inwestują je w swój przyszły dobrobyt. Podobnie z inwestycjami w zieloną gospodarkę. A jeśli rzeczywiście problemem ma być to, że Polski „nie stać” na takie inwestycje, to nic nie stoi na przeszkodzie, żeby żądać, by bogatsze i mniej zależne od węgla kraje „starej Europy” się na to zrzuciły.

Coś mi się zdaje, że nawet w epoce cięć budżetowych trudno by im było odrzucić taką propozycję. W tej sytuacji narzuca się okropne podejrzenie – a może nasi patrioci z Solidarnej Polski po prostu nie chcą, żeby Polska dostała te pieniądze? Ale dlaczego nie chcą?!

Inna kwestia to miejsca pracy. Straszą więc nas, że realizacja pakietu może oznaczać likwidację 250 tys. miejsc zatrudnienia. To też prawda, ale częściowa. Pewne stanowiska pracy będą zamknięte, ale w ich miejsce powstaną nowe: w sektorze efektywności energetycznej i energii odnawialnej. Według obliczeń Greenpeace do 2030 r. może w ten sposób powstać 386 tys. nowych miejsc pracy. Czyżby autorzy propozycji „zawieszenia” pakietu klimatycznego nie chcieli, żeby one powstały?

Ostatnia kwestia to perspektywa wzrostu cen energii i ciepła. Taki scenariusz nie jest wykluczony, ale nie jest też nieuchronny (w gruncie rzeczy o wiele bardziej powinniśmy bać się wzrostu cen energii wskutek naszej zależności od ropy). Przewidywanie polskiej gospodarki na zieloną energię będzie okazją do nowego rozdania obciążeń i korzyści wynikających z tego procesu. Ale to nasz rząd, a nie Bruksela, zdecyduje, kogo obciążą koszty tej transformacji, a kto na niej sko-

rzysta. W wielu krajach zieloni proponują rozwiązania zapobiegające „ubóstwu energetycznemu”. Jednym z takich pomysłów są progresywne opłaty za energię – podstawowe zapotrzebowanie na energię można zaspokajać tanio, a jej marnowanie lub konsumpcja luksusowa mogą być droższe. Pakiet klimatyczny nie zawiera takich rozwiązań, ale nic nie stoi na przeszkodzie, by się domagać ich wprowadzenia. No chyba że nie chodzi o ochronę ubogich...

Mimo wszystko zamiast oburzać się i ustawiać w roli obrońców pakietu klimatycznego, ekolodzy mogą potraktować propozycję Solidarnej Polski jako wyzwanie. Obecny pakiet klimatyczny jest daleki od doskonałości – jest nie dość ambitny, jeśli chodzi o cele ekologiczne, opiera się na nieskutecznych lub przeciwnie skutecznych narzędziach (jak handel emisjami) i – to prawda – nie zawiera gwarancji dotyczących „sprawiedliwości ekologicznej”, czyli troski o to, by polityka ekologiczna nie prowadziła do wzrostu biedy i nierówności społecznych.

Sukces propozycji Solidarnej Polski oznaczałby mroczną przyszłość dla nas i dla naszych dzieci, ale dotychczasowa polityka klimatyczna nie daje gwarancji ochrony przed taką przyszłością. W dodatku ich propozycje trudniej w Polsce odparować, bo wielu ekspertów ekologicznych w naszym kraju pozostaje zadziwiająco niewrażliwymi na kwestie społeczne. Europę już dziś stać na ambitniejszą politykę klimatyczną – zarówno jeśli chodzi o głębszą redukcję emisji dwutlenku węgla, jak i o sprawiedliwszy rozkład kosztów oraz korzyści z tego procesu. Będzie to możliwe, jeśli ekolodzy spróbują przekonać do siebie tych ludzi, do których dziś apełują Ziobro i Kurski – związkowców (w tym górników!).

Jeśli więc zapowiedź Europejskiej Inicjatywy Obywatelskiej nie była tylko przedwczesnym prima aprilisowym żartem, to być może w tym roku czeka nas arcyciekawy pojedynek.

Zdrowy, przystojny w strzykawce

Jan S. z Bielska-Białej zapładnia kobiety za tysiąc złotych. Postanowiłam go przetestować. Przedstawia mi się pełnym nazwiskiem (ale nie wiem, czy prawdziwym). Mówi przez nos. Katar? Polipy? – zastanawiam się, co mu jest, gdy on – z tym swoim zapchanym nosem – roztacza wizję: wystarczy jedna porcja jego nasienia i już będę w ciąży. Pokazuje mi się rozebrany do majtek, więc widzę, że nie ma tendencji do tycia. Ma za to kłopot z językiem polskim. Choć twierdzi, że skończył studia. – Posiadam wykształcenie wyższe i zasady, których się trzymam – mówi. Zapewnia, że poczęte z nim dzieciątko będzie śliczne i na sto procent zdrowe.

Oczywiście nie od razu przechodzimy do rzeczy. Najpierw zagajenie o tym, że brzydka pogoda i wieje. W końcu jednak trzeba ustalić, czy da mi nasienie w pojemniczku, czy będzie próbował zapładniać naturalnie? Woli naturalnie. Plemniki – jak twierdzi – ma ruchliwe. Co jeszcze ma? 30 lat. Ciemne oczy, ciemne włosy. Grupę krwi AB Rh+.

Bez prawa

Czy to jest legalne? Wszystko jest legalne. Polskie prawo nie reguluje postępowania z gametami – nie ma więc czegoś takiego jak legalny i nielegalny obrót. Sprzedaje się nasienie, komórki jajowe i zarodki. Spod kontroli wymyka się nie tylko to, co dzieje się za pośrednictwem internetowych anonsów, ale też to, co robią kliniki leczenia niepłodności. Nikt nie wie zresztą, ile ich jest (Stowarzyszenie na Rzecz Leczenia Niepłodności i Wspierania Adopcji Nasz Bocian szacuje, że 47). Zgaduj-zgadula, ile mamy w Polsce banków nasienia? Ile banków komórek jajowych? Ile zamrożonych ludzkich zarodków? Tego się nie liczy, nie rejestruje, nie kontroluje. – Jesteśmy jednym z największych rynków w Europie – mówi o handlu gametami Anna Krawczak, wiceprzewodnicząca zarządu Naszego Bociana. – Podobnie źle jest tylko na Cyprze i Ukrainie.

Regulacja obrotu nasieniem wzbudza kontrowersje, ale były minister zdrowia Marek Balicki twierdzi, że to żadne usprawiedliwienie: – Zawsze mogą się gdzieś zdarzyć jakieś wypaczenia. Ale nie może być tak, że państwo na

Politycy ugrzęźli w sporach ideologicznych nad gametami, a w polskim Internecie handluje się dziś nasieniem niczym samochodami. Nie mamy żadnych przepisów. To komórkowa wolna polka

MATYLDA GŁOWACKA

nie przystaje. U nas jednak unika się wprowadzenia prawa, bez którego mamy „hulaj dusza, piekła nie ma”.

Tymczasem wkrótce znów czeka nas sejmowy spektakl o in vitro. Małgorzata Kidawa-Błońska z PO w rozmowie z „Przekrojem” zapowiedziała, że jej projekt zostanie wprowadzony pod obrady do końca marca. Ale nie jest jedyny. Powstało ich więcej, niż jest partii w Sejmie. Wszystkie te, które zezwalają na zapłodnienie pozaustrojowe, zakazują handlu gametami i jednocześnie odwołują się do europejskich rozwiązań w sprawie obrotu nimi. – Jest pełna zgoda, że natychmiast powinniśmy ratyfikować Europejską Konwencję Bioetyczną, którą Polska podpisała 13 lat temu – mówi Kidawa-Błońska.

Jej przyjęcie rozwiązałoby kwestie techniczne obrotu gametami – wprowadziłoby obowiązek rejestracji i anonimowość dawców oraz określiłoby zasady działania klinik. – Tu nie ma sporu. Już dawno powinniśmy to zrobić, bo obecna sytuacja jest niedopuszczalna – dodaje Kidawa-Błońska. Rzeczywiście, nie ma sporu, bo z posłanką zgadza się Bolesław Piecha z PiS, autor PiS-owskiego projektu ustawy o in vitro: – Konwencja bioetyczna i kategoryczny zakaz handlu gametami to absolutne minimum, choć oczywiście działanie konwencji w Polsce powinno być obwarowane restrykcjami broniącymi życie.

Czyli wszyscy wiedzą, jak to u nas powinno wyglądać. My sprawdziliśmy, jak wygląda.

Bez głowy

– Nasienie mam bez zarzutu – zapewnia budowlaniec z Wielkopolski, ma 42 lata, więc nie mógłby oddać go do banku spermy, bo te preferują dawców do 35. roku życia. Ma więc niedobry wiek, ale za to elastyczne podejście, zarówno jeśli chodzi o miejsce zapłodnienia, jego sposób, jak i koszt. – Dogadamy się – uspokaja. Może mi pomóc zająć w hotelu albo w domu. Ale uprzedza: pełna anonimowość. Nie będziemy się sobie przedstawiać. Musi mi wystarczyć to, co da się zobaczyć gołym okiem: 180 cm wzrostu, postępująca łysina. Oraz to, co zechce o sobie opowiedzieć: matura, grupa o Rh+, żona, trzech synów, nie licząc pozamałżeńskich sukcesów prokreacyjnych – dotąd zapłodnił jedną panią w Łodzi i jedną w Warszawie.

Krzysiek z Krakowa (rocznik 1979, dyplom Akademii Górniczo-Hutniczej, grupa krwi o Rh+) sprzeda mi świeżą spermę w strzykawce. Robił już tak. Wymiana pieniędzy-sperma może odbyć się w którejś z krakowskich kawiarni. – Ciarki przechodzą po plecach – wzdryga się profesor Sławomir Wołczyński, który jest prezesem Polskiego Towarzystwa Rozrodu i dotąd nie miał pojęcia, że można sobie w taki sposób kupić nasienie.

– Śliskie. I bardzo ryzykowne – dodaje Małgorzata Wójt, embriolog. Pracuje w Salve Medica, łódzkiej klinice leczącej niepłodne pary, i absolutnie odradza korzystanie ze spermy dawców znalezionych w Internecie.

Podobnego zdania jest Anna Krawczak ze stowarzyszenia Nasz Bocian i wymienia listę dodatków, jakie mogą dostać wraz z porcją świeżego nasienia: HIV, kiła, rzeżączka, chlamydia trachomatis, zapalenie wątroby typu B i typu C...

Bez badań i pewności

Bezpieczniej jest zgłosić się do kliniki leczenia niepłodności. Tam, zanim kobiecie poda się nasienie, jest ono badane wirusologicznie i genetycznie, mrozi się je, czeka pół roku i po tej kwarantannie jeszcze raz – na wszelki wypadek

– bada. Europejskie standardy leczenia niepłodności wykluczają inseminację świeżym nasieniem. A w Polsce proszę bardzo: znajdujesz ogłoszenie, zamawiasz, płacisz i masz. Dlaczego, mimo ryzyka, tak wiele niepłodnych par szuka dawców w Internecie? Bo wiedzą, od kogo dostają nasienie. Z banku otrzymuje się przebadany materiał, ale niewiele informacji o dawcy. Na ogół biorcy dowiadują się tylko, jaką ma grupę krwi, jaki kolor oczu, włosów, wzrost i wykształcenie. Więcej informacji jest niewskazane ze względu na anonimowość dawstwa. I to się nie zmieni, gdy Polska przyjmie Europejską Konwencję Bioetyczną.

Brak przepisów oznacza również, że kliniki, wykonując zabiegi inseminacji czy in vitro, same decydują, jak wysokich standardów chcą się trzymać. Mogą najwyższych, ale to tylko ich dobra wola. Ponieważ nie ma ani prawa, ani kontroli, trzeba wierzyć na słowo, że wszystkie pozyskują dawców starannie (wymagania: wiek do 35 lat, zdrowie, brak nałogów, minimum średnie wykształcenie). Sprawdzamy to. W pierwszej z klinik lekarz zdradza, jacy bywają ci, którzy się zgłaszają. Najczęściej wyglądają, jakby ostatnie lata spędzili na picu i akurat zabrakło im kasy. Przy autoryzacji wyglądza jednak swoją wypowiedź, prosi, żeby napisać tak: – Zgłaszają się młodzi, niektórzy w finansowej potrzebie.

Być może zostawiali już nasienie wcześniej, w innym banku, a może nawet w pięciu. W Polsce nie ma sposobu, żeby to sprawdzić. – W naszej przychodni zabezpieczamy się, podsuwając dawcy do podpisania oświadczenie, w którym stwierdza, że nie jest dawcą w żadnej innej klinice – wyjaśnia Agnieszka Nowicka, która odpowiada za PR w warszawskim Novum.

To oczywiście nic nie znaczy. Nie ma ani systemu wymiany danych, ani centralnego rejestru dawców, co ułatwia życie każdemu, kto chciałby zostawić gamety tam, gdzie zechce je przyjąć. Za komórki jajowe dawczyni dostają do 4 tys. zł. Dawcom nasienia płaci się od 200 do 600 zł. – Nie ma przepisów i obowiązku, więc tylko część ośrodków składa raporty – przyznaje Marek Balicki, jeden z autorów projektu społeczno-ekspertycznej ustawy o in vitro, która była magłowana pod koniec ubiegłej kadencji Sejmu. Gdyby przeszła, Ministerstwo Zdrowia miałoby wgląd w to, co robią kliniki niepłodności – musiałyby zabiegać o licencje,

składać raporty, poddawać się kontroli. Może też mielibyśmy już rejestr dawców nasienia i komórek jajowych. No i byłyby kary za handel gametami. Projekt jednak utknął w starym Sejmie. W nowym znów będzie rozpracowywany.

Równocześnie wciąż nie przyjęliśmy dyrektyw UE dotyczących bezpiecznego oddawania, pobierania, przechowywania i dystrybuowania komórek, w tym np. tak zwanej dyrektywy tkankowej, co jest sprzeczne z prawem unijnym. Podpisaliśmy, ale wciąż nie ratyfikowaliśmy Europejskiej Konwencji Bioetycznej, która między innymi zawiera zakaz handlu

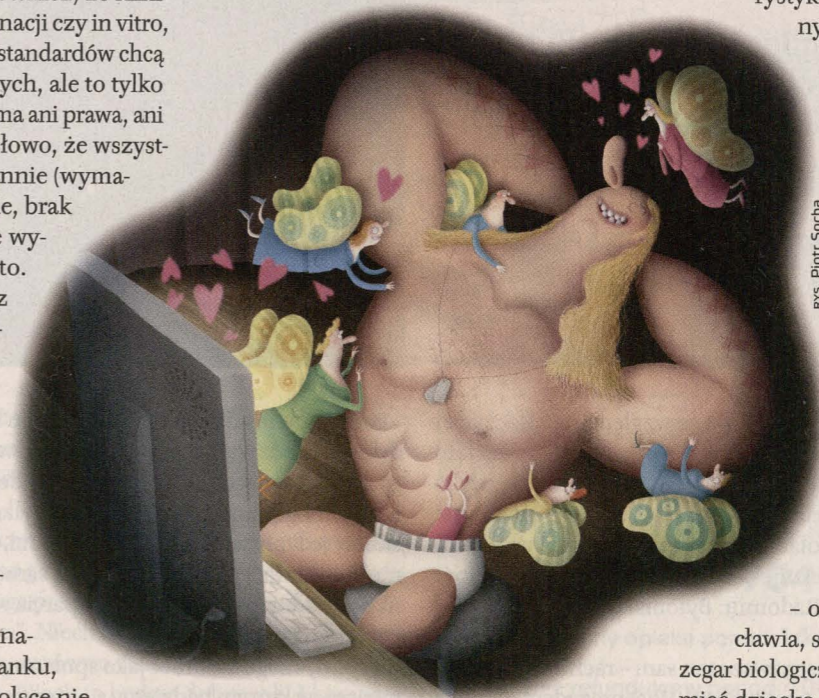
Nie tylko Amerykanie poszukują w ten sposób rodzeństwa, ale i Kanadyjczycy, Australijczycy, Anglicy, Duńczycy, Finowie, Szwedzi, Francuzi i Niemcy. Coraz więcej państw dopuszcza, aby ten, kto został poczęty dzięki dawstwu, mógł po ukończeniu 18. roku życia zgłosić się do kliniki i sprawdzić, kto był dawcą. Z kolei w Islandii, Belgii czy USA można wybrać jedną z dwóch ścieżek – albo być dawcą anonimowym, albo jawnym. – W Polsce większość, jeśli nie będzie mogła zachować anonimowości, zrezygnuje – twierdzi profesor Krzysztof Łukaszuk z kliniki Invicta. Tak jak w Wielkiej Brytanii. – Zwiększyła się za to turystyka medyczna Brytyjek potencjalnych biorczyń do Hiszpanii czy Indii – dodaje Łukaszuk.

Innego zdania jest Anna Krawczak. – Na początku część dawców się wykruszy. Ale w ich miejsce przyjdą nowi, trzeba tylko włożyć pracę w ich motywowanie. Dawstwo musi się zmienić, być bardziej świadome. Jeśli byłaby jawność, nie było transakcji handlowych: ja ci pieniądza, ty mi nasienie.

W końcu wybór dawcy plemników to nie przelewki. – Dla mnie na przykład istotne jest to, jakie są w jego rodzinie choroby, jak sobie radzi w życiu, kim jest z zawodu – opowiada M., księgowa z Wrocławia, samotna, pod czterdziestkę. Jej zegar biologiczny już nie tyka, a dzwoni. Chce mieć dziecko. Dwóch kandydatów z Internetu obejrzała sobie z bliska. – Pustaki – narzeka. Sprawdzi jeszcze kilku. M. wyklucza „naturalną inseminację”, czyli stosunek płciowy z dawcą. Woli zapłacić za oddanie nasienia do pojemnika. Dalej sama sobie poradzi strzykawką lub specjalnym zestawem.

Obrzydliwe? Ryzykowne? Ale nie zakazane. Uregulowanie handlu gametami stało się ofiarą polskiego sporu o zapłodnienie in vitro. Ten zażarty konflikt ideologiczny, toczony od kilku lat ponoć w imię najwyższych wartości, zablokował sprawę stosunkowo niekontrowersyjną, a dla tych właśnie wartości – kluczową. Eksperti twierdzą, że nawet całkowity zakaz obrotu gametami byłby lepszy niż obecna sytuacja. W oczekiwaniu na rozwiązanie problemu in vitro polskie państwo pozwala na istnienie dżungli w środku Europy. Dżungli, w której rządzi gametowy kapitalizm.

WSPÓŁPRACA ŁUKASZ WÓJCIK



rys. Piotr Socha

zarodkami i gametami ludzkimi. Większość państw członkowskich Unii ma własne, krajowe ustawy. Tylko pięć nie ma żadnych przepisów. W tej grupie jest Polska.

Bez anonimowości?

Możemy więc kiedyś doznać szoku, w jakim dziś są Amerykanie. We wrześniu „New York Times” opisał historię Cyntii Daily, która siedem lat temu skorzystała z banku nasienia i po urodzeniu dziecka zaczęła dochodzić, czy nie ma ono genetycznego rodzeństwa. Okazało się, że ma przynajmniej 150 sióstr i braci, którzy urodzili się dzięki nasieniu tego samego dawcy. W USA wysłedzenie pokrewieństwa jest możliwe dzięki Rejestrowi Przyrodniczego Rodzeństwa (Donor Sibling Registry). Na stronę DSR co miesiąc zagląda 10 tys. osób chcących odnaleźć genetycznych krewniaków.

Nasze prawo do szkoły

Technikum Elektroniczne nr 4 w Bytomiu ma zostać podzielone i przeniesione do budynków dwóch innych szkół: samochodowej i ekonomicznej. Uczniowie powiedzieli „nie”. Ten lokalny, zdawałoby się, protest dotyczy nas wszystkich. Dlaczego?

PIOTR LASKOWSKI

Bytom jest bowiem wyjątkowy nie ze względu na niszczycielskie działania władz miasta, lecz na protest, który się tam rozpoczął. Wyjątkowy i niejedyny. W Poznaniu przeciwko planom tak zwanej reorganizacji sieci szkół zawiązało się Porozumienie Szkolne i Przedszkolne, połączone ze stowarzyszeniem My-Poznaniacy. W Wałbrzychu protestuje oświatowa „Solidarność”. Opór stawiają szkoły w Warszawie i Radomiu. Bytomską placówkę wsparł prezes ZNP.

Argument władz miejskich jest zawsze ten sam - rachunek finansowy. I przedstawiany jest on jako „racjonalny”. Wiceprezydent Bytomia Halina Bieda uważa protest uczniów technikum za „bardziej emocjonalne podejście do sprawy niż rozumowe” i z satysfakcją stwierdza, że gdzie indziej zrozumiano, iż zmiany były konieczne. Uderzające jest to połączenie języka ekonomii, w którym racjonalne jest to, co się opłaca, z paternalistyczną wyższością, z jaką rozumna władza tłumaczy nam żelazne konieczności ekonomiczne.

Być może to już ostatnia chwila, byśmy mogli powiedzieć o szkołach więcej, o nas - że nie jesteśmy zasobami ludzkimi, nie jesteśmy biomasą, którą trzeba oszczędnie zarządzać. Tworzymy społeczności, wspólnoty - złączone etosem, doświadczeniami, wzajemnymi relacjami. Takimi społecznościami są między innymi dobre szkoły, w których uczniowie i nauczyciele nie dają się zredukować do zbioru odseparowanych od siebie jednostek - dobra szkoła to sieć społecznych więzi, to wspólnie tworzona forma naszego życia. Wartości takiej wspólnoty nie da się policzyć. Staruszek Arystoteles w „Polityce” zauważa: „Męstwo nie przejawia się w robieniu pieniędzy, lecz w okazywaniu odwagi, podobnie jak nie w robieniu pieniędzy objawia się talent wodza czy lekarza, ale w odnoszeniu zwycięstwa lub niesieniu pomocy zdrowotnej”. Podobnie szkoła nie robieniu czy choćby oszczędzaniu pieniędzy ma służyć, lecz lepszemu życiu uczniów.



Bunt w Bytomiu - „Jesteśmy zintegrowaną społecznością ludzi młodych i mamy prawo do własnej szkoły!”

Potrzebujemy dziś polityki, która nie będzie ekonomicznym zarządzaniem, lecz wspólnym tworzeniem warunków naszego społecznego życia. Gdy rachunek ekonomiczny decyduje o tym, jakie formy społeczne mogą istnieć, polityka służy tylko do niszczenia. Dla rynku jesteśmy jedynie samotnymi jednostkami, które niczego nie mogą wspólnie użytkować, a wszystko muszą samodzielnie kupić. Rynek czyni nas bezradnymi, bo nie mamy oparcia we wspólnej przestrzeni i w innych ludziach.

Abyśmy mogli zaistnieć jako społeczność, potrzebujemy wspólnego miejsca, w którym będziemy się spotykać i które będziemy współtworzyć. Bytomskiego technikum nie można przenieść i ulokować w budynkach dwóch różnych szkół właśnie dlatego, że nie jest ono pojemnikiem na biomasę, którą można teraz efektywniej i oszczędniej rozdzielić. Jest wspólnotą ludzi, złączoną wspólnym etosem, wspólną formą życia i działania, przyjaźniami. I właśnie ten etos, te związki z przestrzenią i z innymi mają znaczenie dla jakości naszego życia - bo są nasze, bo je wspólnie wytwarzamy, bo są naszym doświadczeniem.

I nie chodzi tu tylko o szkoły, chodzi o wszelkie przestrzenie, które się nam odbiera - o place zabaw oddawane deweloperom, o bary mleczne niszczone gigantycznymi czynszami - bo wraz z utowarowieniem naszych wspólnych przestrzeni poddane dyktatowi ekonomii zostaje nasze społeczne istnienie.

Dlatego bytomskie technikum jest sprawą nas wszystkich, zanim reorganizacji ulegną nasze szkoły i przedszkola, nasze place zabaw i parki, nasze biblioteki i domy kultury (które zresztą w większości zreorganizowano już tak sprawnie, że ich nie ma).

Musimy mówić językiem, który pozwoli nam stworzyć wspólnotę, bo tylko jako wspólnota zdołamy obronić siebie samych przed zmianą w indywidualnych konsumentów. Inaczej wszystko, co dla nas ważne - nasze życie - stanie się towarem i zostanie nam odebrane. „Dziś

my prosimy, jutro to wy możecie prosić” - piszą uczniowie bytomskiego technikum na swojej stronie internetowej. Jest gorzej - jeśli dziś nie odpowiemy, to jutro możemy już nawet nie wiedzieć, że możemy o cokolwiek prosić.

Dwa światy - dwa języki. Uczniowie bytomskiego technikum znają ten drugi język i umieją mocno go punktować - na swojej stronie cytują życzenia noworoczne z bloga prezydenta Bytomia: „Jeśli dobro jest - staje się naszym obowiązkiem”. Niech te słowa Jana Pawła II przyświecają nam przez cały nowy rok, zarówno w małych, codziennych sprawach, jak i w tych życiowych. Niech to będzie dobry rok. I komentują: „Brzmi nieszczerze... zły prognostyk na nowy rok”.

Uczniowie protestujący w Bytomiu widzą jasno bezwzględność maskowaną świętymi cytatami. Przeciwdziałają jej ten jeden argument, którego wagę musimy zrozumieć: „Jesteśmy zintegrowaną społecznością ludzi młodych i mamy prawo do własnej szkoły!”.

Jeśli chcemy być społeczeństwem, jeśli chcemy mieć swoją własną, czyli wspólną, przestrzeń, swoje szkoły, swoje miejsca, które razem będziemy tworzyć, to musimy nadać mocny komunikat: my już policyliśmy, że się jako społeczeństwo nie opłacamy - już to wiemy, więc jeśli władze tylko mają nam do powiedzenia, to być może czas, że byśmy zreorganizowali władze.

Piotr Laskowski

Egiptolog i historyk idei, adiunkt w Zakładzie Filozofii i Bioetyki Collegium Medicum uJ. Był wykładowcą Uniwersytetu Powszechnego w Teremiskach i współtworzył Liceum Humanistyczne im. Jacka Kuronia w Warszawie. Autor książek: „Maszyny wojenne. Georges Sorel i strategię radykalnej filozofii politycznej” (2011 r.) oraz „Szkice z dziejów anarchizmu” (2006 r.).

REKLAMA

Fundacja Dzieciom
„Zdążyć z Pomocą”
KRS 0000037904



1%

- Obejmujemy opieką ponad **16 000 dzieci** z całego kraju.
- Rocznie refundujemy ponad **400 000 faktur i rachunków** za usługi lecznicze, rehabilitację, zakup sprzętu medycznego i leków.
- Pomagamy rodzicom przy organizacji zbiórek publicznych, imprez i koncertów charytatywnych.
- Uruchomiliśmy **Ośrodek Rehabilitacji AMICUS**, w którym podopieczni korzystają z bezpłatnej rehabilitacji.
- Budujemy nowy ośrodek, by pomóc większej liczbie dzieci.



Więcej informacji o Fundacji na www.dzieciom.pl

Czy można było uniknąć chaosu przy wprowadzeniu ustawy regulującej refundację leków?

– O tym, że jest ona nieprzygotowana, w Sejmie huczało od kilku miesięcy. Bardzo długo od jej uchwalenia poprzednia ekipa zajęta wyborami nie wydawała rozporządzeń wykonawczych. To dlatego negocjacje z firmami farmaceutycznymi rozpoczęły się tak późno i trwały do ostatniej chwili. Nowy minister, obejmując stanowisko, miał już do czynienia z kryzysem i zaraz po objęciu funkcji powinien był na niego reagować: uruchamiać infolinię, przygotowywać broszury informacyjne dla pacjentów. Nie rozumiem, dlaczego tego nie robił.

Minister Bartosz Arłukowicz mówi, że likwiduje tzw. Dzikiego Zachód związany z handlem lekami w Polsce...

Równocześnie zdrowie jest uważane za dobro najwyższe. To dlatego w relacje pacjenta z kosciami powinno wkraczać państwo. Bo on sam jest pozbawiony ochrony. Ta ustawa mu tego nie daje i to jest jej główną wadą.

Co to znaczy?

– Dopłaty pacjentów do leków należą u nas do najwyższych w Europie. Ponad połowę rynku leków obejmują te w ogóle nierefundowane. Za nie płacimy w aptece 100 proc. ceny. Do tych, które są refundowane, pacjent dopłaca średnio jedną trzecią ceny. Dla porównania – w Niemczech jest to 8 proc. W wielu przypadkach realnie ogranicza to dostęp do leków, wydatek rządu 200 zł miesięcznie wyraźnie pogarsza jakość życia w gospodarstwach domowych o średnich czy niskich dochodach.

Recepta na receptę

Państwo krok po kroku wycofuje się z brania odpowiedzialności za zdrowie obywateli – przekonuje w rozmowie z Sylwią Szparkowską były minister zdrowia, polityk SLD

MAREK BALICKI



FOT. Kuba Kamiński

– Dzikiego Zachód, jeśli ktoś go chce tak nazywać, jest większy teraz. Przecież wiele firm w ogóle zrezygnowało z refundacji. W rzeczywistości te przepisy są kolejnym krokiem ku wycofaniu się państwa z brania odpowiedzialności za zdrowie obywateli.

To ciekawe, że firmom bardziej opłaca się dawać upusty w aptekach, niż korzystać z dopłat państwa do leków.

– Prawdopodobnie część sama obniży ceny leków i będzie sprzedawać je, nie oglądając się na obostrzenia wynikające z refundacji. Dlatego wypowiedzi ministra dziwią. Skoro przyznajemy, że są to przedsiębiorstwa nastawione na zysk, to nie rozumiem, dlaczego jeszcze powiększamy ich margines swobody w prowadzeniu gry rynkowej.

Pytanie, na ile państwo powinno w tę grę ingerować.

– Wobec działań marketingowych firm pacjent jest bezbronny, bo często nie ma wystarczającej informacji, by dokonać racjonalnego wyboru i wybrać najlepsze dla siebie leki.

Tymczasem choroba nie powinna w tych rodzinach obniżać standardu życia. Po to płacimy składki, by mieć poczucie bezpieczeństwa zdrowotnego. To największy grzech tej ustawy – że nie wprowadza mechanizmów chroniących pacjenta przed nadmiernymi wydatkami, także przed tymi nieracjonalnymi wydatkami na leki pełnopłatne.

Na przykład jakich?

– Rozwiązań jest kilka: w Anglii wszystkie leki kosztują tyle samo. W Szwecji po przekroczeniu pewnego progu wydatków dopłata pacjenta do leków spada. W Polsce obowiązuje zasada, że głównie chronimy tych, którzy chorują długo, a mniej chorujących krótko. To dość dobra zasada, tyle że w obecnym systemie nie jest realizowana.

Pacjenci chorujący przewlekłe stracą na wprowadzeniu przepisów?

– Ustawa likwiduje upusty i promocje, które dla niektórych grup pacjentów, na przykład chorych na cukrzycę, miały duże znaczenie. Teraz ceny leków będą sztywne, a to może

spowodować, że wielu pacjentów zapłaci za nie więcej niż wcześniej. Niewątpliwie zaoszczędzi NFZ, ale w pewnym stopniu te oszczędności zostaną przerzucone na chorych.

Chorzy cierpią też z powodu protestu lekarzy...

– Trudno się dziwić lekarzom, że protestują. Grożą im kary za przepisywanie leków niezgodnie z przepisami, przy czym te przepisy nie są jasno określone. Nie wiadomo, po co kazać wpisywać na receptach poziom refundacji leku. Przecież to niczemu nie służy. Po co każe im się sprawdzać, czy pacjent jest ubezpieczony, czy nie? Nieubezpieczeni to mała grupa ludzi, a dla państwa to lepiej, że w ogóle przeszli po leki do lekarza.

Dlaczego?

– Bo i tak w końcu trafiają do szpitali, gdzie za ich leczenie płaci państwo. Tyle że są już w ciężkim stanie. Bardzo trudno zachęcić ich do regularnego leczenia. Jeśli dzięki wizytom u lekarza i braniu leków unikną pobytu w szpitalu, to państwo na tym zyska. Zresztą nie to jest najpoważniejszym problemem dla lekarzy, który niesie ze sobą ta ustawa...

... tylko przepisywanie leków poza wskazaniami rejestracyjnymi producenta.

Właśnie. Wskazania do ich używania, w trakcie rejestracji, określa producent. Tymczasem zdarza się, że po wielu latach lek zaczyna być używany przez lekarzy w innych sytuacjach, bo wiedza medyczna się rozwija. Dotyczy to wielu specjalności, np. pediatrii. I proszę zauważyć, że wykorzystywanie leku poza jego wskazaniami może dotyczyć nawet co piątej substancji. Natomiast firmy nie wnioskuje o zmianę wskazań, bo to kosztuje.

Jaki problem jest związany z tymi lekami?

– Nowa ustawa mówi, że lekarz może być ukarany za użycie leku niezgodnie z obwieszczeniem zawierającym listę refundacyjną. A na niej jest zapis, że leki są refundowane, jeśli używa się ich zgodnie ze wskazaniami rejestracyjnymi. Lekarze boją się kar za kontynuowanie takich terapii.

Może przestaną ich używać?

– To by była katastrofa. Bardzo wielu lekarzy nie miałoby jak leczyć. Ten zapis to nieuzasadniona ingerencja ustawodawcy w wykonywanie zawodu lekarza.

Jak ten konflikt będzie się rozwijał?

– Ustawa wprowadzana jest w sposób wyjątkowo arogancki; w ostatniej chwili, bez informacji dla pacjentów i bez przywołanych negocjacji z kontestującymi ją środowiskami. Ale ten konflikt w pewnym momencie wygaśnie. Tylko, jeśli ustawa nie zostanie poprawiona, utrwali się patologiczna sytuacja, za którą w ostatecznym rozrachunku zapłaci pacjent.

Szok dziesiątych urodzin

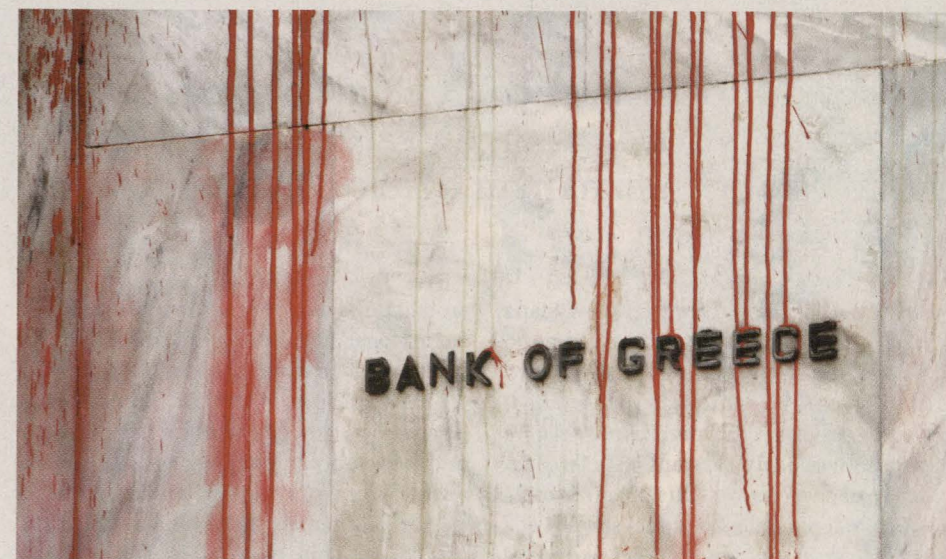
Tygodnik „Time” ogłasza Protestującego człowiekiem roku, w Grecji kolejne fale strajków, a obchodom dziesiątych urodzin euro towarzyszy nastrój prawdziwie pogrzebowy. Czy jesteśmy w przededniu rewolucji?

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ

Do stoją finansowego rygoryzmu – Europejski Bank Centralny – porzuca swe niewzruszone zasady i zaczyna drukować pieniądze – na początek bagatela 750 mld, a tymczasem neoliberalni doktrynerzy, którzy jeszcze do niedawna wyśmiewali podobne pomysły, także w Polsce, przyjmują tę zdradę bez zmruczenia oka. Najnowszy szyk ekonomiczny w szerokim świecie każe nawet rozprawiać o zaletach deglobalizacji. Czyżby kapitalizm dożywał swych dni? A przecież miało być tak pięknie.

Byli nawet tacy, dla których euro było tym, czym Napoleon dla Hegla – wcieleniem rozumu historycznego. Wprawdzie od początku stało się jasne, że korzyści z wprowadzenia euro rozłożą się nierówno: instytucje finansowe dostały ogromny, zderegulowany rynek i narzędzie pomnażania zysków, natomiast zwykłym Europejczykom podarowano wyższe ceny i radość z podróžowania wolnego od obowiązku przeliczania kursów na granicach. Po dziesięciu latach nawet ci pierwsi nie mają wielu powodów do strzelania korkami. Entuzjazm ze wspólnej waluty wyparował.

Przez dziesięć lat euro Europa stała się niemal idealnym wcieleniem rynkowej utopii. Przestrzeń niezakłóconej konkurencji, której w traktatach unijnych podporządkowano wszelkie prawa społeczne obywateli Starego Kontynentu, przyniosła wielkie zyski bankom i korporacjom, a zarazem zniweczyła lata pracy nad polityką integracyjną. Silnych



FOT. Yannis Behrakis/Reuters/Forum

(Niemcy) uczyniła jeszcze silniejszymi i wniosła do rangi monopolistów, innych (Grecję, Włochy, Portugalię, Hiszpanię) zepchnęła na peryferie. Dopóki rosła bańka hipoteczna, dopóty można się było ludzić, że czas przemysłu, tradycyjnej produkcji i rynków wewnętrznych już minął, że wzrost gospodarczy można oprzeć na usługach finansowych, eksporcie i budownictwie.

Czy ktoś jeszcze o tym pamięta? Czy ktoś pamięta, jak systematyczne obniżki podatków dla najbogatszych wykopywały coraz większe dziury w budżetach i jak zasypywano je tanim kredytem oferowanym przez dobroczyńców w rodzaju Goldman Sachs i Royal Bank of Scotland? Kontynentalne rynki finansowe, które miały być lokomotywą projektu europejskiego, stały się dziś jego głównym zagrożeniem. Niepohamowana pazerność garstki bankierów zdążyła skompromitować nie tylko euro, ale też samą Unię. Niestety fakt, że neoliberalne reguły, których dziesięć lat temu przyrzekano bronić niczym Okopów Świętej Trójcy, a stały się zawalidrogami składanymi na ołtarzu walki z kryzysem, nie przybliżył nas do upadku kapitalizmu. Dlaczego? Bo stawką tego pragmatyzmu unijnych elit jest zachowanie i wzmocnienie rozwiązań, które uderzają w pracowników. Tutaj neoliberalny fundamentalizm ma się znakomicie i taki jest cel federalizmu fiskalnego pobłogosławionego przez Merkel i Sarkozy'ego. Drukowanie pieniędzy i wykupywanie obligacji zadłużonych

państw nie ma przecież służyć obronie miejsc pracy i praw socjalnych, ale bilansów PNB Paribas. A w tych bilansach zaciskanie pasa zapisuje się po stronie aktywów. To dlatego odrzucanie neoliberalnych pryncypiów w odniesieniu do finansjery odbywa się przy wtórze neoliberalnej retoryki oferowanej tym 99 proc. obywateli, którzy mają ową finansjerę finansować. I nie ma w tym niczego zaskakującego, bo przecież neoliberalizm od swego zarańcia pomyślany był jako socjalizm dla bogatych i ultrakapitalizm dla biednych.

Przykład Grecji pokazuje to z całą jaskrawością – dziesiątki miliardów euro tzw. unijnej pomocy przepłynęło przez jej budżet, lądując na bankowych kontach w Berlinie i Paryżu, a samym Grekom pozostały drakońskie cięcia, obniżki płac i rosnące w ich wyniku długi.

Kryzys stał się świetnym pretekstem do zaordynowania Europejskiemu terapii szokowej. Mieszkańcy Grecji, a wkrótce być może Włoch czy Portugalii, poczują na własnej skórze rozkosze dostosowań strukturalnych Międzynarodowego Funduszu Walutowego, o których dotąd mogli poczytać w książkach na temat katastrofalnych skutków neoliberalizmu w Ameryce Łacińskiej czy Afryce. Natomiast ci, którzy przekształcali Unię w przestrzeń niezakłóconej konkurencji, raczej na tym nie stracą... z euro czy bez niego.

MONDE, *diplomatie* autor jest redaktorem naczelnym „Le Monde diplomatique” – edycja polska.

Przegrać dla ludzi

Czesław Miłosz i science fiction? To nie pomyłka. Noblista napisał powieść w tym popularnym gatunku. Ale jej nie wydał. Dlaczego? O czym traktowała? O nieznanym dziele Miłosza **SŁAWOMIR SIERAKOWSKI**

Jest to powieść bardziej niewydana niż niedokończona. W literaturze poświęconej Czesławowi Miłoszowi znalazłem o niej jedynie niewielką wzmiankę w biografii napisanej przez Andrzeja Franaszka. Powieść zatytułowana jest „Góry Parnasu” i składa się ze wstępu i pięciu rozdziałów. We wstępie Miłosz z jednej strony wyjaśnia, dlaczego nie zamierza jej skończyć, a z drugiej poleca ją czytelnikom, do których zwraca się w pierwszym zdaniu: „Uprzejmym względem czytelnika ciekawego przyszłości polecam te rozdziały z powieści science fiction, która nie będzie napisana. Dlaczego nie będzie napisana? Bo mi się nie chce. Dlaczego mi się nie chce? Poważne to pytanie. Dlatego, że wynik byłby 1) artystycznie wątpliwy 2) niemoralny”.

Artystycznie wątpliwy, bo rozmnożenie w XX w. rozmaitych formalnych uduziwnień w powieści doprowadziło do ich zużycia i nie sposób już chwycić nimi rzeczywistości. Konieczność wymyślenia nowych cywilizacji otwiera wprawdzie szansę na powrót do starożytności opisywania rzeczywistości, ale rosnący nacisk nowoczesnych wymagań uniemożliwia jej skuteczne zastosowanie w dobrze napisanych dialogach i charakterystyce postaci. Miłosz przekonał się, że „tej lamigłowce nie da rady”, gdy najpierw dobrze mu szło pisanie „jak to będzie”, ale później nie wytrzymał zażenowania, próbując wykorzystać historie dwóch kobiet z własnej biografii.

Z kolei drugi punkt autor wyjaśnia tym, że celem pisania nie może być straszenie ludzi. Owszem, żadna prawda nie szkodzi, ale „prawda wyłącznie czarna pomaga tylko wtedy, kiedy strasząc i przygnębiając, do pełniejszego życia podnieca. Nie wydaje mi się, żebym to zadanie umiał wypełnić”.

Miłosz bardzo rzadko, ale pisał o gatunku science fiction. Jest on dzieckiem XIX-wiecznego przełomu w nauce, który

zrodził powszechne przekonanie o postępie technologicznym bez ograniczeń. Wiek XX dołożył do tego wizje społeczeństwa przyszłości, zazwyczaj pesymistyczne. Science fiction pojawia się wtedy, gdy przestrzeń przestaje pobudzać wyobraźnię człowieka i w tej roli zastępuje ją czas. Czytanie powieści tego gatunku pozwala ocenić zasięg ludzkiej wyobraźni, z którą mamy taki kłopot w dzisiejszym świecie.

„Góry Parnasu” ułożone są z osobnych fragmentów. Poza pierwszym, w którym dominuje opis przyrody, cztery pozostałe to historie, a właściwie życiorysy trzech bohaterów: Karela, Efraima oraz kardynała Petra Vallegrę. Autobiograficzność opowiadanych historii nie budzi wątpliwości, choć chyba w żadnym wypadku nie jest to dokładne odwzorowanie rzeczywistych wydarzeń. Można z grubsza założyć, że Miłosz postanowił wcielić siebie młodego w postać Karela, zaś siebie starszego w postać kardynała Vallegrę.

Są więc odnotowane takie wydarzenia jak próba samobójcza z użyciem rewolweru i rosyjskiej ruletki, wpływ pobożnej matki, silny związek z żoną, z którą bohater odbędzie podróż kosmiczną, a także erotyczna fascynacja starszą ciotką Felisą (tego właśnie dotyczy informacja u Franaszka). Pada charakterystyczne dla Miłosza zdanie: „Lubiłem moje badania nad historią Kościoła, nie lubiłem znajdowanej tam prawdy o nim”.

W powieści pojawiają się znane z historii postaci i instytucje ukryte za wymyślonymi nazwami. Czytelnik potrafi rozpoznać w nich, choć nigdy dokładnie, Swedenborga (szwedzkiego naukowca, filozofa, mistyka), a być może także Herberta Marcusego (niemiecko-amerykańskiego filozofa i socjologa żydowskiego pochodzenia), którego przypominać może profesor Nakao. Pod własnymi nazwiskami występują natomiast papież Jan XXIII i Zygmunt Freud. II wojnę światową rozpoznajemy pod

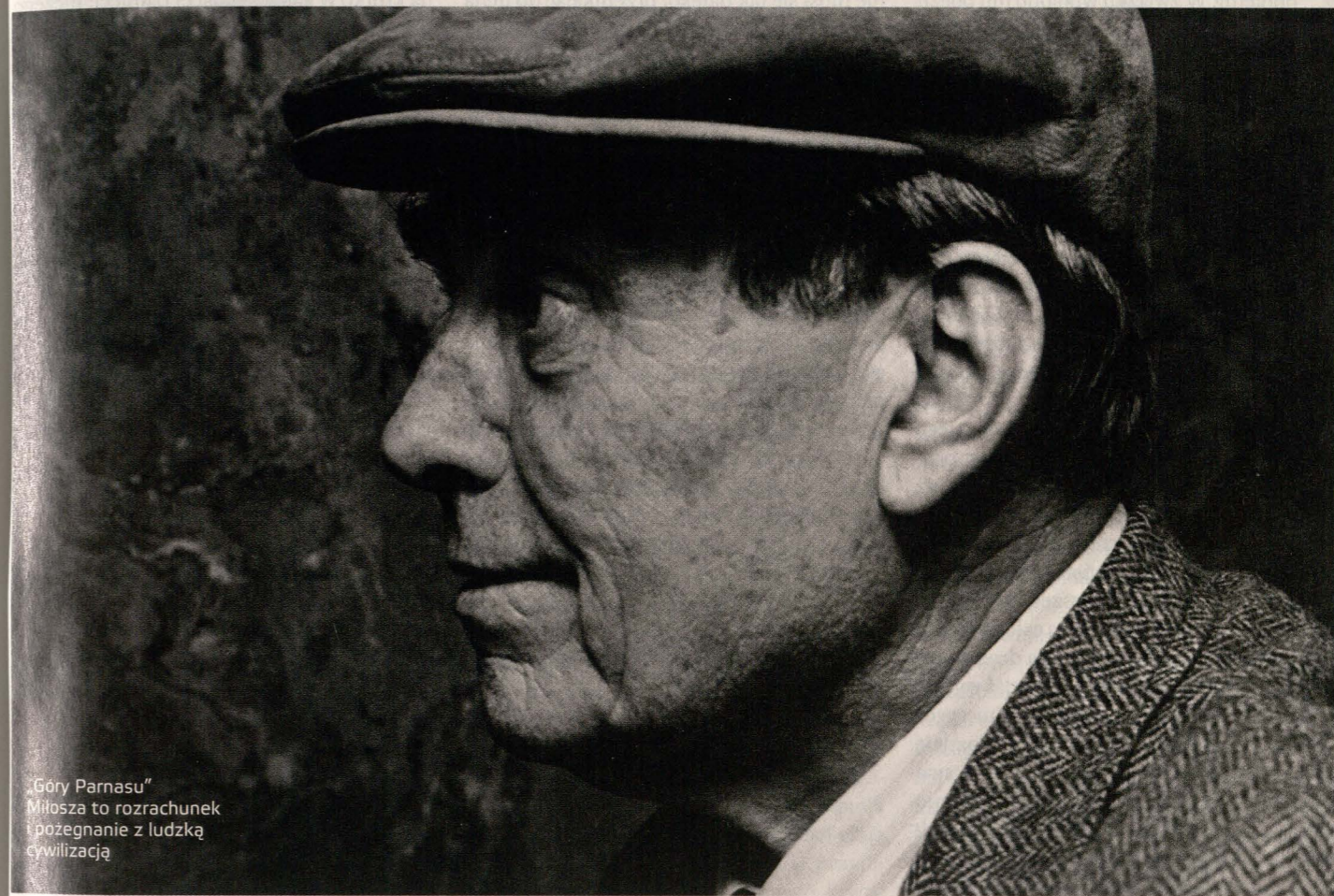
nazwą „Wojny Miłośników Rasowego Pokoju”. Kontrkultura 1968 r. reprezentowana jest także przez tajny i terrorystyczny związek Stowarzyszenie Podpalaczy, który działa „bez celu i uzasadnień”, podpalając laboratoria i biblioteki. Główny bohater nie przystępuje do organizacji, choć odnajduje w niej „tę samą nienawiść co jego własna”. Woli ich bardziej niż „pokolenie intelektualistów” zajmujące się „rozbiorem swojej filozoficznej zabawki”, które łatwo zidentyfikować z francuskim komunistycznym „Lewym Brzegiem” irytującym Miłosza.

Choć rywalizacji między obecnymi w powieści Związkiem Botaników a Związkiem Astronautów nie sposób uznać za odzwierciedlenie Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych, coś z atmosfery zimnej wojny można w powieści wyczuć. Poza tym Miłosz pozostaje wierny gatunkowi science fiction, umieszczając w swojej powieści rozmaite wynalazki z przyszłości: podróże kosmiczne (prawie) z prędkością światła, inne planety i systemy słoneczne, nowe rodzaje zabójczej broni, kombinacje genetyczne, komputery, biochemię, podróże w czasie.

Pożegnanie z cywilizacją

Biografia Czesława Miłosza to przeżyte najważniejsze miejsca i wydarzenia XX w. I one również pojawiają się w „Górach Parnasu”. Ale autobiograficzność nie jest najważniejszym rysem powieści. Nie jest nim również historia ani polityka. „Góry...” to przede wszystkim rozrachunek i pożegnanie z ludzką cywilizacją.

Wszystko, co dobre i złe, poznać możemy przez stosunek człowieka do czasu. Zwykłych mieszkańców powieści Miłosza czas przerażał i obrażał, należało go zniszczyć i zastąpić intensywnością doznań każdej chwili, tak żeby „wiele mogło się zdarzyć, zanim wskazówki zegarka wskażą upływ minuty”. Karel miał lat 18, „kiedy postanowił zabić czas, zabijając siebie”. W rosyjskiej ruletce wylosował



„Góry Parnasu” Miłosza to rozrachunek i pożegnanie z ludzką cywilizacją

FOT. Czesław Czaplinski/FOTONOVA

ślepią kulę. Wtedy pojawia się tajna instytucja o nazwie Wyższe Braterstwo Nirwany, będąca najpewniej komputerem kontrolowanym przez Związek Astronautów. Żeby zbyt liczny już gatunek ludzki chronić przed degeneracją i zniknięciem, bractwo wprowadza „racjonalny odstrzał” przeprowadzany w sposób „ściśle naukowy, humanitarny i beznamiętny”. Natomiast Karel zostaje wybrańcem Związku Astronautów, który porywa najlepszych ludzi, zapewniając im sukces.

Dalej rozpoznajemy ważną przemianę relacji władzy w XX w.: „Kiedyś co bardziej energiczni rządzący wychodzili z dziwnego założenia, że umysły rządzących są dla nich niebezpieczeństwem, jeżeli nie zostaną przekonane perswazją czy strachem. Wydawano olbrzymie sumy na kształcenie i przekonywanie tych umysłów, posługując się też tak zwaną kulturą, czy, jak nazywało się to inaczej, literaturą i sztuką”. W późniejszej nowoczesności kontrola nad ludźmi nie ustaje, ale nie musi być już sprawowana bezpośrednio. Orwellowski totalitaryzm zastąpiony zostaje przez Huxleyowski. „Najprostsze jest zwykle

najtrudniejsze do odkrycia, tak i w tym wypadku nieprędko stało się jasne, że stan umysłów obywateli jest dla sprawowania władzy mniej czy bardziej obojętny i że poza tymi, którzy należą do Związku Astronautów, najlepiej ich zastawić własnemu losowi”. Przełom w świecie powieści datowano od pojawienia się „Teorii Indywidualności” prof. Nakao, którego zasługą było „rozbić indywidualności na składniki pierwsze poddające się matematycznym działaniom”. Dzięki temu można było zająć się tylko taką organizacją możliwych torów ludzkiej percepcji, „która może okazać się szkodliwa dla rozumnego, chronionego przez Astronautów społecznego porządku”. W ten sposób czasy nakazów i zakazów zostały zastąpione przez „świat o kształtach płynnych jak dym”.

Widzimy ludzi sprowadzonych „do incestu w obrębie ludzkiego gatunku”. „Mieszkańcy ziemskiego państwa, jeżeli komunikowali się ze sobą, to tylko żeby pytać »co czujesz«, ale ponieważ nie da się tego wyrazić w słowach, najczęściej milczeli”. „Żeby włączyć się i doznać tej krótkotrwałej wieczności, która linię

czasu prowadziła, jak muzyka, esami-floresami swojej architektury, posługiwano się prądem M37 i grą erotyczną”.

Cywilizacja ludzka jest skazana na upadek, od kiedy „Bóg umarł”, a ludzie dla realizacji swoich hedonistycznych zachcianek zapragnęli żyć wiecznie. Śledząc losy bohaterów „Gór Parnasu”, dostrzegamy trzy rodzaje buntu: samobójstwo, nihilistyczny terrorizm (przypominający rosyjskich nihilistów) ze Stowarzyszenia Podpalaczy albo postawę, którą ostatecznie wybiera Karel, a jej uzasadnienie znajduje się również w „Testamencie kardynała”.

Rozczarowanie

W ostatnim rozdziale zatytułowanym „Opowieść Astronauty” poznajemy prawdziwe imię i nazwisko Karela, które brzmią Lino Martinez. Wytypowany przez Związek Astronautów brał udział w wyprawie na planetę Sardion. Jako członek związku należał do kasty wybrańców, którzy dzięki rozmaitym zabiegom osiągnęli długowieczność. Zwykłym śmiertelnikom przygląda się z góry. Ich los nie jest mu →

→ obojętny. W związku wpojono mu poczucie odpowiedzialności za cały gatunek i patriotyzm. Reprezentuje Rozum, „który przez milennia badał i stwarzał, zaczynając od pierwszego narzędzia i wynalazku ognia, w nas się wcielił, my byliśmy jedynymi jego nosicielami, jedynymi, bo nie znaleźliśmy w galaktyce żadnych innych istot rozumnych. I szczyliśmy się naszą nie tylko nauką, ale właśnie kontrolą rozumu nad namiętnościami, nad zwierzęcym odruchem czy to egoizmu, czy strachu”. Może nawet chciałby zrobić coś nie tylko dla prostych ludzi, ale też z nimi, lecz nie da się ich zapalić entuzjazmem, bo „nic od nich nie zależało”.

Wyprawa na Sardon będzie trwała dla niego pięć lat, ale z powodu zakrzywienia czasoprzestrzeni na Ziemi wróci nie wcześniej niż po 50. Leci ze specjalnie przygotowanym zespołem ludzi i z żoną Ilen. Dopiero na statku przeżywa ostre przeciwieństwo: „My, ludzie, i obojętne wobec nas ono, wszechświat”. Jest rozczarowany tym, że podczas całej podróży zamiast więzi i ciepła zwyciężają drobne ambicji i rywalizacja. Ludzka wielkość wydaje mu się „pierwiastkiem szczęśliwym z niczego”.

Jeszcze większego szoku bohater doznaje po powrocie na Ziemię, gdy odszukuje swoich znajomych z dzieciństwa, którzy mu imponowali siłą życiową. Jego idol z najmłodszych lat popełnił z żoną samobójstwo, zostawiając list – targnęli się na swoje życie „z powodu bezsensu tego wszystkiego”. Inni, w tym ciotka, z którą przeżył inicjację seksualną, okazali się starzy, brzydki i żałośni. Poczuli się winni i odpowiedzialni za ich nieszczęście oraz za cały porządek, który wcześniej „rozumowo uznawał za konieczny”. W efekcie ucieka ze związku, zmienia nazwisko, porzuca żonę. A w reakcji na upadek swoich dawnych przyjaciół z dzieciństwa decyduje się przegrać. „Ciemy mus, oścień, nie przestanie nas nękać, aż wykonamy, czego żąda. Bo jakby solidarność z nimi, z ludźmi, popychała mnie na krawędź, mogłem być z nimi, tylko spadając”.

Zaczynamy się orientować, że powieścią rządzi czas religijny, w którym po upadku ludzkości przychodzi Antychryst i Apokalipsa. Kardynał Vallegro, świadek schyłku cywilizacji, opowiada – a my słyszemy echo Dostojewskiego – o śmiertelnej chorobie, którą „jest instynkt ze skazą świadomości i świadomość ze skazą instynktu”. Ludzkość zdominowana jest przez daimonizomenoi (tak w Biblii nazwani są opętani przez diabła – przyp. S.S.): „Zaiste, nigdy dotychczas ich ilość, nawet biorąc pod uwagę ogólny wzrost ludności, nie była tak znaczna, nigdy ich głos, pomnożony przez elektronikę,

nie niósł się tak daleko, przenikając do ucha wszystkich. Praktyczny dowód energii Złego był dostateczny, ale oni, trwożliwi chrześcijanie, za ujmę swojej nowoczesności poczytali by ten dowód przyjąć. Tak jednak uporcezywie narzucała się czyjaś złowroga obecność (...)”.

Być może tym Antychrystem jest Wyższe Bractwo Nirwany, czyli komputer, który prowadzi w społeczeństwie racjonalny odstrzał. Kardynał opisuje upadek Kościoła katolickiego, który ulega kontrkulturze. Miłosz rzuca cież na II Sobór Watykański i agiornamento, poddając w wątpliwość intencje oraz skutki cesji na rzecz ziemskiego świata. Księżę grzech pierworodny żenuje, podobnie jak anioły i demony, więc całe to niewidzialne towarzystwo zostaje odesłane do krainy metafor. „Zawsze przecie – zapewniali teraz w kazaniach – pochwalaliśmy dobroć i piękne stworzenia, kochaliśmy się tylko, a ziemia będzie rajem”. Taki

„Polecam rozdziały z powieści science fiction, która nie będzie napisana. Dlaczego? Bo mi się nie chce

CZESŁAW MIŁOŚZ

Kościół szybko staje się lokajem politycznej doktryny. Kardynał nie usiłuje odwracać biegu wydarzeń zapisanych w Biblii, czyli przed początkiem czasu. „Apostołowie nie mylili się, szercząc na wybrzeżach Morza Śródziemnego wieść, że późna jest godzina, mylili się jedynie, mierząc ją latami ludzkiego życia, podczas gdy późna godzina historii obojętna jest na naszą miarę stuleci i tysiącleci”.

Przegrać z ludźmi

Kardynał wie, że Bóg przyjdzie i wybierze raz jeszcze kogoś, i to wcale nie spośród tych, „co noszą symbol z nim pojednania”, ale spośród odstępców i pogan. I nadejdzie Apokalipsa przedstawiona w powieści jako „Długa zima”. „Pomieści w sobie i słoneczne dni, i radość, i beztroskę, i śmiech, ale zawsze z towarzyszeniem dojmującego chłodu”. Testament kończy się słowami: „Nie jest źle nie mieć nic, jak ja nic nie mam, ani tej cielesnej powłoki, która zaraz będzie odjęta, ani chwały dzieł wiekopomnych, ani bogactw zebranych

na krótko w zaraz gasnącej pamięci; niczego prócz Obietnicy”.

Być może tym zbawcą jest Karel, który wybiera „rozbierający nas po kawałku czas”, rezygnując z otrzymanej od Związku Astronautów długowieczności. Długowieczność nie jest ludzka. Technologiczna kruczata, której celem jest opanowanie przemijania, czyli zwycięstwo nad naturą i czasem, okazuje się bezsensowna. Słusznie mówi kardynał: „Jak trudno przeżyć życie na stopień dostateczny z minusem, a przypuszczam, że dostateczny stopień dostaje się po prostu za to, że się żyło, mój własny jest tylko minus”. Po ludzku życia doświadczać można jedynie w horyzoncie własnej śmierci. Bohaterowie Miłosza pragną ocalić człowieczeństwo przez akt pojednania się z czasem, co oznacza – ze śmiercią. W „Górach Parnasu” Miłosz ratuje człowieka, przywracając mu właściwy stosunek do czasu.

Budowanie projektów, pisanie doktryn byłoby jedynie kontynuacją odczarowywania świata, zabijania Boga, osamotniania ludzkości. Co można zrobić na „ziemi bez ojcostwa”? Można zdezerterować z grupy zwycięzców, wybierając solidarność z przegranymi. Chrystus zszedł na ziemię, żeby przegrać z ludźmi. Zresztą, jeśli wciąż możliwy jest akt wiary, także poza religią, to może świat nie jest odczarowany. A jeśli Bóg nie istnieje, to może wszystko wolno, ale przecież nie wszystko ma sens.

Diagnoza Miłosza nie jest już kwestią przeszłości. To świat, którego doświadczamy na co dzień. Jedni żyją na Parnasie. Inni głodują na ziemi. Coraz więcej jest jednak tych, których obojętność nie głód, ale brak sensu, chociaż Parnas wydaje im się w zasięgu ręki. Mają oni wciąż wybór: mogą walczyć o wspieranie się na szczycie kariery albo uwierzyć, że są inne cele w życiu niż znalezienie się na Parnasie. Czy pozostaje im coś więcej niż oburzenie? Wiara w świat bez Boga jest możliwa. To wiara w coś, czego nie ma, ale stać się może. Poza „bezsensowną materialnością” i „bezsensowną brutalnością”.

Z powieści Miłosza dowiadujemy się, że stworzyć coś dla ludzi można tylko, przegrywając razem z nimi, zaś wygrywając dla siebie, można jedynie przysłużyć się reprodukcji władzy i porządku. Powieść kończy się słowami: „Myślę, że jeżeli cały nasz ludzki rodzaj miał do wyboru albo przegrać, albo tak wygrać, jak wygrał, wygrać nie było warto”.

krytyka Autor jest założycielem i redaktorem naczelnym „Krytyki Politycznej”

Transparentni transpłciowi



ANNA GRODZKA

Autorka jest posłanką Ruchu Palikota

Tak już jesteśmy racjonalnie skonstruowani, że bez głębszej refleksji dostrzegamy na co dzień tylko to, co dla nas ważne, co zagraża, dziwi, stawia opór. Dopóki jesteśmy syty i napojeni, dopóty nie myślimy raczej o czymś do picia czy do jedzenia. Nie dostrzegamy powietrza, bez którego nie przeżylibyśmy przecież więcej niż kilka chwil. Nie dostrzegamy – bo jest.

Ale gdyby zabrakło powietrza?

Oczywiście wiesz, że jesteś kobietą lub mężczyzną, wysokim lub niskim, lewo- lub praworęcznym, masz karnację białą lub ciemną. Jaki problem? Jesteś, jaki jesteś. Patrząc na siebie z góry, możesz zobaczyć się na tle innych, na tle norm kultury, sytuacji, w jakiej żyjesz – jakoś to oceniasz. No cóż – powiesz – jest lepiej lub gorzej, ale da się żyć. A jeśli jest bardzo źle, jeśli odczuwasz konflikt między sobą a światem, to może będziesz się starać zmienić swoją sytuację lub... świat.

Ale jeśli swoje ciało, jeśli swoją płęć odczuwasz jako obcą, jeśli każdy twój gest, wizerunek w lustrze, twoje imię wypowiedziane przez najbliższych odczuwasz jako „nie swoje”, wtedy brakuje ci powietrza.

Tożsamość płciowa jest jednym z najważniejszych aspektów życia każdego człowieka. Większość z nas nie dostrzega tego faktu,

ponieważ nie odczuwa dysharmonii między własną psychiczną tożsamością płciową a przypisaną mu przy urodzeniu płcią prawną i społeczno-kulturową oraz cechami płciowymi własnego ciała. Osoby transpłciowe rodzą się z ciałem z jednej bajki, a płcią psychiczną z innej. To wewnętrznie niespójne. Szczególnie silnie ta niespójność daje o sobie znać w kontakcie z otoczeniem, które potwierdza ją na co dzień.

Spójność jest potrzebna każdemu. Spójność to logika. Nielogiczne nie istnieje. Potrzeba logicznej spójności jest dana naszemu gatunkowi. Logika potrzebna jest każdemu z nas jak powietrze. Tego także zazwyczaj nie dostrzegamy na co dzień. Uświadamiają to sobie natomiast ludzie transpłciowi. Brak tej spójności odczuwają niezwykle boleśnie. Starają się jakoś sobie z nią radzić. Najczęściej grają przed otoczeniem społecznym rolę przypisaną im przez społeczeństwo i prawo, kryjąc ból z powodu niespójności tej roli ze „swoim ja”. Najtrudniejsze dla nich jest to, że rolę tę zmuszeni są grać nawet wobec najbliższych, kochających i kochanych. W pewnym sensie oszukują siebie i rodzinę. Inni znajdują sposoby pośrednie. Wcielają się w przyrodzoną rolę – czasami. Upuszczają w ten sposób nagromadzoną we wrzącym kotle parę. Niektórzy przełamują istniejące bariery i lęk, starają się skorygować swoją płęć społeczną i fizyczną. Skorygować na tyle, na ile się da.

Jakaż wielka musi być potrzeba zgodności tożsamości płciowej z ciałem i społeczną rolą płciową, która pozwala podjąć bój o... siebie! Dzieje się to mimo wszystkich mających charakter prania mózgu „procesów wychowawczych” i groźby presji społecznej.

Nie wiadomo, ile osób transpłciowych jest wśród nas. W każdym razie tych, którzy decydują się na korektę swojej płci prawnej i społecznej, jest znacznie mniej niż tych, którzy zmagają się ze swoją odmiennością, nie przerywając w pełni swojego życia, a odnajdując ścieżki, które zmniejszają poczucie dyskomfortu związanego z wyznaczoną im rolą płciową. Sądzę jednak, że większość z nas, mimo

o tym nie wie, zna co najmniej jedną osobę transpłciową. Wśród nich być może także osobę transseksualną, czyli taką, która skorygowała płęć. Nie jesteśmy tacy sami. A przecie wśród trójlistnych koniczynek zdarzają się także czterolistne.

Państwo polskie i polski system opieki zdrowotnej nadal zamiatają pod dywan problem transpłciowości, utożsamiając płęć człowieka z rodzajem genitaliów. W Polsce pomoc medyczna osobom korygującym płęć udzielana jest wyłącznie odpłatnie.

Podobne genitalne myślenie prezentuje Kościół katolicki, nie przyznając prymatu płci odczuwanej psychicznie nad zapisem w księgach kościelnych, opartym na pobieżnej obserwacji rodzaju narządów płciowych niemowlęcia. Kiedyś, biorąc udział w dyskusji w programie telewizyjnym, usłyszałam od księdza Kieniewicz, że skoro Bóg chciał, bym urodziła się mężczyzną, nim powinienam pozostać. Nie przekonałam duchownego argumentacją, że urodziłam się z kobiecą duszą.

Obsesja genitalnego sposobu myślenia o płci jest tak silna, że nawet lekarze, we współpracy z rodzicami dzieci, które rodzą się z niejednoznacznością płci genitalną (dzieci interseksualne), decydują się, notabene za pieniądze podatnika, „doprowadzać płęć niemowlęcia do jednoznaczności” poprzez operacje na jego genitaliach. Dopiero wiele lat później okazuje się, czy zgadli, jaką płęć psychiczną będzie miało to dziecko. Mylą się nader często. Dzieje się to za zgodą polskiego prawa. Tymczasem płęć psychiczna dorastającego człowieka okazuje się często inna niż ta, o której zdecydowano bez jego woli w dzieciństwie.

Jak w świetle tej rzezi niewiń interpretować w takim razie wyrażony przez prawo i praktykę medyczną w Polsce zakaz jakiegokolwiek ingerencji w ciało osoby świadomej już swej płci i domagającej się korekty drugorzędowych cech płciowych?

Nie da się dostrzec całej rzeczywistości z jednego, tylko swojego punktu widzenia. Często warto pójść kilka kroków dalej, poza granice własnej wiedzy i stereotypów.

Pod koniec lat 90. sami Portugalczycy przyznali, że narkotyki są największym zagrożeniem społecznym

For: Rafael Marchante/Reuters/Forum



Nie więzienie, a leczenie

Zatrzymanie, proces, a potem więzienie – to nie jest dobra droga postępowania z osobami, u których znaleziono marihuanę czy haszysz. Podstawa to dekryminalizacja posiadania niewielkiej ilości narkotyków. Tak jak w Portugalii – przekonuje socjolog **NUNO CAPAZ**

ROZMAWIA MICHAŁ SUTOWSKI

Czy Portugalia to konserwatywny kraj?

– Portugalia była bardzo konserwatywna od lat 20. XX wieku aż do roku 1974, kiedy znaliśmy się pod panowaniem prawicowej dyktatury – katolicyzm był częścią państwowej ideologii. Po demokratycznej rewolucji goździków zmieniła się. To zresztą był jeden z powodów naszych problemów z narkotykami od połowy lat 80. do lat 90. Bo wcześniej Portugalia była izolowana i z dnia na dzień

otworzyła się na świat, ze wszystkimi tego plusami i minusami.

Taka „spóźniona rewolucja” obyczajowa?

– Ominęły nas kolorowe lata 60. i 70. oraz rewolucja hippisowska. Byliśmy zamkniętym społeczeństwem. Wyjazdy za granicę były utrudnione, a kupowanie narkotyków prawie niemożliwe. Kiedy w 1974 r. nastąpił przełom, ludzie nie byli przygotowani na radzenie sobie z nimi. **Nie mieliście lokalnej kultury narkotykowej?**

– Nie było jej, choć mieliśmy kolonie w Afryce, gdzie hodowano marihuanę i haszysz. Narkotyki zażywano tam mniej lub bardziej otwarcie. Po demokratycznej rewolucji kolonizatorzy wrócili do Portugalii i przywieźli je ze sobą. To wkrótce spowodowało wysoki popyt, który zaspokajano dzięki przemytowi z Maroka. W latach 80. w całej Europie, także u nas, pojawiła się heroina. Ludzie nie rozumieli różnicy między haszyszem a heroiną i pod koniec lat

80. aż 1 proc. całej populacji był albo uzależniony od tego twardego narkotyku, albo choć raz go próbował. W latach 90. można było zobaczyć konsekwencje: zakażenia HIV, żółtaczką typu B i C czy gruźlicą. Nawet rząd zauważył, że mamy problem.

W Polsce narkomani używali wówczas „kompotu” rodzimej produkcji, substancji potwornie szkodliwej. Co brano u was?

– Mieszanki różnych substancji, głównie jednak heroinę importowaną z Afganistanu przez Holandię. Społeczny problem zażywania narkotyków rozprzestrzenił się bardzo szybko – w latach 90. każdy z nas znał kogoś uzależnionego albo osobę, która brała okazjonalnie, także heroinę. Mieliśmy z nimi kontakt, wiedzieliśmy, że mają problem i potrzebują leczenia – ale państwo uznawało ich za przestępców.

Jakie były reakcje reszty społeczeństwa?

Dostrzegano, że coś jest nie tak?

– Skala uzależnienia od dożylnie zażywanej heroiny sprawiała, że problem był bardziej widoczny niż w innych krajach. W 1997 r. przeprowadzono ogólnoeuropejskie badania na ten temat, które wykazały, że zdaniem Portugalczyców narkotyki są największym zagrożeniem społecznym. I właśnie dlatego w 1999 r. rząd powołał grupę ekspertów, m.in. lekarzy, biologów, socjologów, a nawet filozofów, by opracowali rekomendacje dla przyszłej reformy polityki narkotykowej. Co ciekawe, po dziesięciu latach, a więc już po jej wprowadzeniu w życie, podobne badania powtórzono – i problem narkotyków znalazł się dopiero na 13. miejscu.

Co dokładnie chcieliście osiągnąć przez wdrożenie reformy i czy coś się do dziś zmieniło?

– Nie, podstawowe cele pozostały te same: zmniejszenie konsumpcji i podaży substancji psychoaktywnych oraz poprawa jakości leczenia. Główny powód, dla którego polityka narkotykowa zaczęła się wreszcie sprawdzać, to działania rządu, który przyjął wszystkie eksperckie rekomendacje. Uwzględniono sugestie poprawy jakości warunków leczenia, w tym darmowej pomocy dla ludzi uzależnionych. Państwo pokrywa 80 proc. kosztów leczenia, a w przypadku ubogich chorych nawet ich całość. Brak pieniędzy nikogo zatem nie wyklucza. Znacznie zwiększyliśmy też dostęp do terapii metadonowych, zakładając, że niektórzy uzależnieni muszą być na terapii substytucyjnej.

Wcześniej był z tym problem?

– Przed reformą liczba terapii zastępczych była znikoma, bo propagowano leczenie drug free, czyli abstynencyjne. Wraz z wdrożeniem

reformy stwierdziliśmy jednak, że założenie o społeczeństwie całkowicie wolnym od narkotyków jest absurdalne. W niektórych przypadkach po prostu niemożliwe jest zaprzestanie brania narkotyków. To tak jak z cukrzykami – niektórzy mogą prowadzić normalne życie, wystarczy odpowiednia dieta, a inni zawsze będą musieli brać insulinę. Niektórzy uzależnieni prawdopodobnie będą musieli brać metadon przez całe życie. Nie mogliśmy więc ograniczać dostępu do tego typu terapii. Inaczej czekalibyśmy po prostu na czyjaś śmierć. Teraz, jeśli ktoś potrzebuje metadonu, to po prostu go kupujemy.

To droga forma leczenia.

– Dla społeczeństwa pacjent na metadonie jest nieporównanie tańszy od narkomana pozostającego przy heroinie – terapia zastępcza pozwala prowadzić normalne życie, pracować, mieć rodzinę. Po prostu utrzymuje człowieka w społeczeństwie. Heroinista nie jest w stanie pracować, bo jego życie kręci się wokół konieczności zdobycia pieniędzy na kolejną dawkę – a to zazwyczaj wiąże się z aktywnością przestępczą, biorąc pod uwagę to, jak droga jest heroina.

Dostęp do różnych terapii nie jest specjalnie kontrowersyjny. Najwięcej sporów budzi dekryminalizacja posiadania narkotyków...

– Właśnie ze względu na dostęp do terapii jedną z wdrożonych w 2001 r. rekomendacji była dekryminalizacja zażywania narkotyków – nadal jest to nielegalne, ale nie jest już przestępstwem. W ten sposób usunęliśmy przeszkodę, która nierzadko powstrzymywała uzależnionych przed zwróceniem się o pomoc. Przed reformą zgłoszenie się na terapię było tożsame z przyznaniem się do popełnienia przestępstwa. Obecnie stosunek do tej kwestii uległ poprawie – policja nie przesładowała uzależnionych jak wcześniej. Na początku wprowadzania nowego prawa policjanci twierdzili, że wcale nie koncentrują się na uzależnionych, a na dilerach, do których ci pierwsi jedynie pomagają dotrzeć. To się zmieniło – nie traktuje się już uzależnionych zgodnie z filozofią: choćby zagłodzić, byle dotrzeć do handlarzy.

A co ze ściganiem hurtowników, producentów?

– Kontrole przy operacjach uderzających w przemytników wyglądają tak samo jak kiedyś – pies obwąchuje zatrzymywany samochód. Jednak wcześniej, kiedy znaleziono jakieś narkotyki, policja mogła cię szantażować – jeśli nie powiesz, skąd je masz, to pójdziesz siedzieć.

Co zatem dzieje się z zatrzymaną osobą?

– Przed reformą przed sądem stawiano narkomanów, którzy mieli już na karku inne

przestępstwa. Dla sędziów rozwiązanie było proste – proponowali: „Idziesz na dwa lata do więzienia lub zgłaszasz się na leczenie”. Oczywiście każdy wybierał leczenie, ale sąd działał za wolno, by móc kontrolować jego przebieg. W niektórych przypadkach pierwsze informacje docierały tuż przed końcem terapii. Nawet kiedy kończyła się stuprocentowym sukcesem – a wiemy, iż częściej jest tak, że uzależniony robi krok do przodu i dwa do tyłu, że częste są nawroty uzależnienia – pacjent nadal miał wpis w kartotece kryminalnej, który czytał na niego przy każdej próbie zintegrowania się ze społeczeństwem. Usunięcie tego zagrożenia pomogło pozbyć się strachu przed podjęciem leczenia w ośrodku.

Jakie ilości narkotyków mieszczą się w tolerowanych granicach?

– Do 5 g haszyszu, 25 g marihuany, 2 g kokainy, 1 g heroiny, do 10 tabletek ecstasy i 10 kartoników LSD. Mówiąc krótko – jeśli posiadasz ilość odpowiadającą zapotrzebowaniu na maksymalnie 10 dni, to trafiasz przed komisję odwożenia. Przy większej ilości trafiasz przed sąd, który ocenia, czy znaleziona ilość była przeznaczona na sprzedaż, czy na własny użytek. Schemat działania jest otwarty na interpretację, na przykład jeśli policja znajdzie kogoś, kto posiada dozwoloną ilość narkotyków, ale złapie go w momencie handlowania nimi, to będzie to uznane za przestępstwo. Może być też tak, że jeżeli znajdzie się u kogoś 4 g haszyszu, ale w osobnych opakowaniach, dokładnie odmierzonych, to mimo że mieści się to w dozwolonych granicach, można być posądzonym o handel. Sąd może również uznać, że dana osoba posiadała więcej niż dziesięciodniowy zapas, ale orzec, że to ilość na użytek własny, i skierować oskarżonego do komisji.

Na czym polega ich działalność?

– Jestem członkiem jednej z takich komisji w Lizbonie. Jej trzon składa się z trzech osób. Oprócz nich mamy także trzech sędziów, decydujących o samej procedurze, oraz asystentów – psychologów, pracowników socjalnych, prawników oraz dwie osoby z zespołu administracyjnego. Procedura wygląda następująco: jeśli dana osoba już do nas trafi, najpierw kierowana jest do zespołu technicznego, gdzie musi przejść wstępny wywiad, który trwa zwykle od 45 minut do godziny. Podczas tej rozmowy zespół stara się ocenić, czy dana osoba jest uzależniona, czy używa narkotyków okazjonalnie – co jest istotne dla podjęcia przez nas ostatecznej decyzji. Próbuje się także dowiedzieć, czy przesłuchiwana osoba ma oprócz uzależnienia jakieś inne problemy. →

→ **Traktujecie każdego użytkownika jako uzależnionego?**

- Zauważyliśmy, że zdecydowana większość ludzi biorących narkotyki nie jest uzależniona. To sytuacja podobna jak w przypadku alkoholu - wielu pije alkohol, upija się nawet od czasu do czasu, ale nie uważa się ich za alkoholiczków i nie kieruje na terapię. Tak samo rzecz się ma z narkotykami - jest dużo ludzi, którzy używają narkotyki, ale nie są uzależnieni. Nazywamy ich użytkownikami rekreacyjnymi lub okazjonalnymi. Nasze prawo mówi, że musimy zawiesić procedurę, kiedy wykroczenie miało miejsce po raz pierwszy - wtedy nie stosujemy żadnych sankcji, bo ma to działać jak ostrzeżenie. Informujemy osobę złapaną po raz pierwszy o zagrożeniach i konsekwencjach stosowania substancji psychoaktywnych oraz o sankcjach grożących w razie kolejnego wykroczenia.

A co wówczas za to grozi?

- Możesz zapłacić grzywnę, dostać karę w postaci pracy społecznej albo obowiązkowo zgłaszać się regularnie do miejsca wyznaczonego przez komisję. Zwykle przy nakazie sądowym jest to posterunek policji, ale staramy się, by do tego nie dochodziło. Wybieramy miejsca, w których skazany może się czegoś nauczyć, takie jak centrum dla młodzieży, biura zatrudnienia, ośrodki szkoleniowe. Uprawnienia komisji pozwalają też zawiesić zaślepek, jeśli taka osoba otrzymuje go z pieniędzy publicznych, możemy zatrzymać prawo jazdy albo zakazać wykonywania pewnych zawodów - jeśli wykonuje się pracę, która może zagrażać osobom trzecim. Zasadniczo jednak stosujemy trzy sankcje: grzywna, praca społeczna i regularne stawianie się w wyznaczonym punkcie dla okazjonalnych użytkowników.

A jeśli ktoś nie jest tylko „okazjonalny”?

- Jeśli jakaś osoba zostanie uznana za uzależnioną od narkotyków, musimy zastosować sankcje już za pierwsze wykroczenie - chyba że dobrowolnie zgodzi się ona na leczenie. I jeśli tak, to zawieszamy procedurę i nie występujemy z sankcjami. Tak to działa w teorii, ale w praktyce zauważyliśmy, że między kategoriami okazjonalnego brania a nałogiem jest szara strefa. Ludzi z tej strefy nazywamy „problematycznymi”: mogą być to nałogowi narkomani, którzy jednak radzą sobie z życiem pomimo uzależnienia, lub okazjonalni użytkownicy, którzy momentami przekraczają granice, co w konsekwencji może doprowadzić ich do nałogu. W takich przypadkach próbujemy zidentyfikować kluczowe problemy w ich życiu. Na przykład jeśli jakaś osoba nie ma pracy albo wyleciała

ze szkoły, będzie prawdopodobnie przesiadywać ze swoimi przyjaciółmi, więc dla niej palenie 10 czy 15 jointów dziennie nie jest nie normalne, bo ma dużo wolnego czasu. Staramy się odsyłać takiego człowieka do młodzieżowych placówek, biur zatrudnienia albo na kursy przysposobienia zawodowego, bez sankcjonowania, tak żeby polepszyć CV tej osoby, by w końcu znalazła pracę. Poradzenie sobie z takimi problemami pośrednio wpłynęło na problem z uzależnieniem, bo jeśli ktoś pracuje lub studiuje, to prawdopodobnie ograniczy używki do czasu wolnego, czyli zapali dwa czy trzy jointy wieczorem - to też niedobrze, ale znacznie lepiej niż 10-15 dziennie.

To działa? Bez sankcji?

- Ludziom łatwiej zaakceptować nasze sugestie właśnie dlatego, że nie jesteśmy sądem. Jeśli musimy zastosować jakieś sankcje, to najpierw negocjujemy warunki z zainteresowaną osobą. Sąd stosuje prawo i wymiar kary równe dla każdego - sprawiedliwość powinna być ślepa, co w praktyce znaczy, że skoro

Portugalia pokrywa 80 proc. kosztów leczenia chorych, a w przypadku najbiedniejszych nawet ich całość. Brak pieniędzy nikogo nie wyklucza

nominalnie mamy do czynienia z tym samym wykroczeniem, konsekwencje powinny być dla każdego takie same. My działamy odwrotnie, staramy się ocenić osobę całościowo i dopasować prawo do sytuacji, w której się ona znajduje, uwzględniając jej problemy - po prostu po to, żeby uzyskać lepsze rezultaty. Właśnie dlatego obok nas działa wspomagający zespół techniczny, który zbiera wstępne wywiady, a potem sprawuje kontrolę nad daną osobą.

A co z pozostałymi mechanizmami tzw. redukcji szkód? Na przykład z kwestią wymiany strzykawek?

- Jednym z powodów, dla których grupa rozsądnych ludzi zdecydowała się zaproponować dekryminalizację narkotyków, było usunięcie bariery dla programów redukcji szkód. Koniec końców, jeśli rozdajesz igły i strzykawki ludziom uzależnionym od heroiny, stajesz się współnikiem zbrodni - to prawie jak dawanie komuś broni, która zostanie użyta do popełnienia przestępstwa. Nie wspominając o tym,

że wymiana strzykawek na nowe czyni uzależnionych przestępcami, których identyfikacja przez policję jest niezwykle prosta.

Policja korzystała z tej możliwości? Obserwowała punkty wymiany strzykawek?

- W Portugalii było coś w rodzaju cichego porozumienia między policją i ośrodkami odwykowymi - uzależnieni mieli nie być łapani w ich pobliżu, bo ludzie ze strachu przestaliby do nich przychodzić. W wyniku dekryminalizacji policja przestała łapać ludzi biorących narkotyki, więc odtąd łatwiej jest uzależnionym iść na terapię. Wśród postulatów reformatorów znalazła się narodowa kampania na rzecz redukcji szkód - w szczególności program wymiany igieł i strzykawek. Teraz w zasadzie w każdej aptece możesz to zrobić.

A co z antynarkotykowymi kampaniami społecznymi?

- Przed 2001 r. cały budżet na kampanie prewencyjne wydawany był na jedną kampanię ogólnonarodową, w której pojawiali się sławni ludzie: piłkarze, piosenkarze, aktorzy, którzy mówili coś w rodzaju „NIE dla narkotyków!”. Wszystkie analizowane przez nas badania pokazywały, że tego typu przedsięwzięcia przynoszą skutek odwrotny od zamierzonego. Przez samo hasło „NIE dla narkotyków” zachęcają młodych ludzi do spróbowania. Z drugiej strony mają też wpływ na przeciętnego odbiorcę - zwykły obywatel myśli sobie, że w końcu ci politycy robią coś z narkomanami...

Co stwarza wrażenie, że państwo dba o ludzi?

- Ale nie przynosi pożądanego efektów. Propozycja ekspertów polegała na tym, aby podzielić ogromny budżet na mniejsze kampanie, skierowane do poszczególnych grup ludności, na przykład studentów, młodzieży, która została wydalona ze szkoły, imigrantów i innych. I teraz to realizujemy. Politycznie to dość kłopotliwy środek - wydaje się taką samą ilość pieniędzy jak wcześniej, ale traci się głosy wyborców, bo tzw. zwykli ludzie nie mają świadomości powstawania tych kampanii.

Która partia przeprowadziła reformę?

- Partia socjalistyczna. Ale zaraz po tym, jak zaczęła działać - jakieś siedem miesięcy później - zmienił się rząd. Władzę przejęła partia prawicowa, ale pozwoliła na działanie nowej polityki, stwierdzając, że poczeka, by „zobaczyć, czy działa”. Zdziałała - i choć rządy zmieniały się w kolejnych wyborach, nikt nie zdecydował się likwidować tych rozwiązań. Bo się sprawdzili.

Ale co to właściwie znaczy? Czy spadła konsumpcja narkotyków?



Uzależnieni są samotni, mają patologiczne rodziny, najbardziej potrzebują domu

- Dla zrozumienia efektów reformy trzeba wiedzieć, jak było wcześniej. Ludzie nie byli wysyłani przed sąd z powodu zażywania narkotyków - trafiali tam albo świadkowie w sprawach o handel, albo uzależnieni od twardych narkotyków, którzy popełniali jakieś inne przestępstwa. Młodzi ludzie, którzy dopiero zaczęli coś zażywać, byli zastraszani - władze wydobywały z nich w ten sposób informacje o dilerach narkotykowych. Nie starano się zapobiegać uzależnieniom i wzmacniać ludzi w dokonywaniu dobrych wyborów w kwestii zażywania narkotyków.

Kto teraz decyduje o rodzaju terapii? Uzależniony czy komisja?

- Decydują terapeuci, nie sama komisja. Jeśli jakaś osoba dobrowolnie podda się leczeniu, zawieszamy procedurę i pozostaje nam sprawdzenie co trzy miesiące, czy ta osoba faktycznie w nim uczestniczy.

Nie kontrolujecie przebiegu terapii?

- Nie musimy. To kwestia relacji terapeuta - pacjent. Wszystko, co musimy wiedzieć, to czy osoba sama chce się poddać leczeniu, żebyśmy mogli zawiesić procedurę i nie stosować sankcji. Minimalny czas zawieszenia dla osoby uzależnionej to dziewięć miesięcy.

Największy kłopot w terapii uzależnionych to powrót do normalnego życia. Jak sobie radzicie pod tym względem?

- Gdy osoba uzależniona skończy leczenie i próbuje wrócić do życia w społeczeństwie, potrzebuje przede wszystkim mieszkania, za które najczęściej trzeba płacić z góry. Jeśli nie ma pracy, pojawia się pytanie, gdzie zamieszkać. W niektórych przypadkach uzależnieni mają patologiczne rodziny, więc naprawdę nie mają gdzie się podziać. Staramy się ich na nowo integrować - oczywiście nie dajemy im posad, bo ich nie mamy, ale mamy mieszkania. Mogą w nich zostać nawet przez rok. Otrzymują też pomoc ze strony pracowników socjalnych, którzy pomagają w nawiązaniu kontaktów z ośrodkami pracy - tak żeby w końcu mogli zarobić swoje własne pieniądze. Rozumiem, że choć jesteście częścią Ministerstwa Zdrowia, nie ograniczacie walki z uzależnieniami do kwestii medycznych?

- Postrzegamy procedurę powrotu do społeczeństwa jako kolejny krok w leczeniu. Na poziomie klinicznym problem może zostać rozwiązany, ale jeśli zawiedzie przywrócenie tej osoby społeczeństwu, wówczas prawdopodobnie nastąpi nawrót.

Ilu ludzi do was trafia?

- W zeszłym roku do naszej komisji trafiło około 2 tys. osób. Jeśli zaś chodzi o bardziej ogólne liczby, to w roku 1998 mieliśmy tu 28 tys. ludzi na leczeniu, a dziesięć lat później około 39 tys.

Wspominałeś, że nowe rozwiązania działają, że dzięki komisjom odwodzenia ludzie bardziej odpowiedzialnie podejmują decyzje.

A co z ogólnymi celami reformy?

- Jeden z celów, które chcieliśmy osiągnąć, to redukcja zażywania najgroźniejszych narkotyków - przyjmowanych dożylnie. I to się udało. Jest znacznie mniej osób wstrzykujących sobie heroinę, choć z drugiej strony więcej jest ludzi ją palących. Zaobserwowaliśmy spadek liczby uzależnionych w przedziale wieku od 14 do 19 lat, co jest bardzo ważne, bo w tym okresie życia zaczyna się zażywać narkotyki. Udało się nam przesunąć tę dolną granicę nieco wyżej, co zmniejsza ryzyko uzależnienia.

Nuno Capaz, socjolog portugalski, pracuje w Instytucie ds. Narkotyków i Uzależnień oraz tzw. komisji odwodzenia w Lizbonie, członek Drug Policy Alliance

Fot. Patricia De Melo Moreira/AFP/East News

Talent czy pot?



Bobby Fischer został arcymistrzem jako niespełna 16-latek, po dekadzie intensywnej gry. Czy sukces zapewniła mu harówka, czy talent?

Tropienie przyczyn sukcesu jest dziś dla psychologii tym, czym dla podróżników było poszukiwanie mitycznej Fontanny Młodości. Naukowcy jeszcze wczoraj uważali, że o wszystkim decyduje ciężka praca. Najnowsze badania podważają tę pewność

PAWEŁ FRAN CZAK

W Reeperbahnie, części równie niesławnej dzielnicy Hamburga St. Pauli, znajduje się bardzo sławny klub Indra, znany każdemu szanującemu się fanowi The Beatles. Obecnie to przyzwoity lokal, ale na początku lat 60. był szemraną meliną ze striptizem, pełną prostytutek, pijanych w sztok marynarzy, żołnierzy, złodziei i gangsterów. To tam Beatlesi przeszli swój chrzest bojowy. Za marne dwa i pół funta za dzień na osobę każdego wieczoru grali cztery i pół godziny, w soboty i niedziele bite sześć godzin, czasami osiem. I nie było to brzdąkanie do kotleta - publiczność, choć pijana, miała wymagania. Oczekiwała prawdziwego „schau”, a piosenki nie mogły się powtarzać.

- Naprawdę musieliśmy naparzać - wspominał John Lennon. - Próbowaliśmy wszystkiego,

co nam przychodziło do głowy. Nie było od kogo zrzynać.

W poświęconej ludziom sukcesu książce „Outliers. The Story of Success” z 2008 r. amerykański dziennikarz Malcolm Gladwell oblicza, że The Beatles do 1964 r., kiedy to oficjalnie rozpoczął się brytyjski podbój amerykańskiej sceny muzycznej, zagrali ok. 1200 razy, co dziś wydaje się nieprawdopodobnym wyczynem.

Według autora biografii Beatlesów Philpa Normana to właśnie hamburski epizod odmienił na zawsze Czwórkę z Liverpoolu. „Kiedy tam pojechali, byli do niczego na scenie. Kiedy wrócili, byli bardzo dobrzy. Wyćwiczyli nie tylko wytrzymałość. Nauczyli się niezliczonych piosenek - własnych wersji wszystkiego, co tylko można sobie wyobrazić, nie tylko rock and rolla, ale i nieco jazzu” - pisał Norman w biografii zespołu „Shout!”.

Czy zatem gdyby nie harówka na scenie Indry, John Lennon odstawiłby z czasem gitarę, zniechęcony brakiem sukcesów? Czy muzyczną przygodę wspominałby po latach z rozczuleniem jako szanowany glazurnik lub agent ubezpieczeniowy? Czy gdyby taki morderczy

angaż w hamburskim klubie dostali, powiedzmy, Gerry & The Pacemakers, Rory Storm & The Hurricanes lub jakaś inna gwiazdka liverpoolskiego Mersey Beatu, to oni, a nie The Beatles, byłiby dziś legendą?

Zasada dziesięciu tysięcy godzin

Rozważając przypadki Beatlesów, a także Billa Gatesa, hokeistów i XIX-wiecznych przedsiębiorców, Malcom Gladwell dochodzi do konkluzji: dajmy sobie spokój z gloryfikowaniem talentu. Do osiągnięcia szczytów w przeróżnych dziedzinach z reguły wystarczy wykozystanie szansy i pełne poświęcenie.

Powołuje się przy tym na znane od 1993 r. badania szwedzkiego psychologa K. Andersa Ericssona z Uniwersytetu Stanowego Florydy. Analizując postępy 20-letnich skrzypków, Ericsson i jego koledzy doszli do wniosku, że istnieje prosta zależność między godzinami spędzonymi na powtarzaniu gam a jakością gry (oceniało to wykwalifikowane jury). Muzycy, którzy mieli przećwiczone 10 tys. godzin, wypadli w oczach jurorów najlepiej. Na drugim miejscu znaleźli się ci z 7,5 tys. godzin na koncie, na trzecim - z 5 tys.

Stąd popularna zasada dziesięciu tysięcy godzin, określająca czas praktyki potrzebny na zostanie ekspertem bądź mistrzem. Wedle zwolenników znajduje ona zastosowanie w niemal wszystkich dziedzinach: od golfa, przez biznes, po szachy. Na tym ostatnim polu doskonałą egzemplifikacją jest szachista Bobby Fischer, który zdobył tytuł arcymistrza w wieku niespełna 16 lat: wielki Fischer już wtedy miał za sobą gruntowną, dziesięcioletnią praktykę.

Tresura talentu

„Outliers” to tylko jedna z wielu publikacji marginalizujących znaczenie talentu. W tym samym roku na rynku pojawiła się inna, pod bardzo dosłownym tytułem: „Talent jest przeceniany” Geoffa Colvina, z wiadomą tezą, a także „The Social Animal” Davida Brooksa. Wszystkie okazały się bestsellerami.

Wyznawcami koncepcji Gladwella są (często o tym nie wiedząc) nie tylko rodzice powtarzający do znudzenia: „Ucz się i pracuj...”, ale też choćby Barack Obama, który po lekturze „Outliers” sugerował skrócenie wakacji amerykańskim uczniom, a także azjatyccy →

REKLAMA

ROZ WÓD

Kiedy więcej was dzieli niż łączy

Sprawdź, jak zmieniły się przepisy w zakresie rozwodów i separacji w nowym roku.

Tylko z „Rzeczpospolitą” poradnik „Rozwody, separacje, alimenty”, a w nim:

- kiedy sąd nie zgodzi się na rozwód
- jak podzielić wspólne mieszkanie i majątek
- co i kiedy bardziej się opłaca: rozwód czy życie w separacji
- kto i od kogo może żądać alimentów oraz w jakiej wysokości
- długi małżonków: kto je spłaci po rozwodzie
- wzory pism i teksty aktów prawnych

Poradnik już we wtorek, 10 stycznia

RZECZPOSPOLITA rp.pl/hity

Wydanie z książką dostępne w punktach sprzedaży oraz dla prenumeratorów Pakietu Plus.



→ muzycy. – W Polsce pianista, który zaczyna uczyć się gry w wieku sześciu-siedmiu lat, ćwiczy godzinę dziennie, dojrzały muzycznie student grywa jakieś trzy godziny dziennie. Ale spójrzmy na Chińczyków i Japończyków: oni ćwiczą średnio osiem godzin. No i potem mamy taką sytuację, że na międzynarodowych konkursach to Azjaci wiodą prym – mówi pianistka Barbara Karaśkiewicz.

Komuś wydaje się, że osiem godzin to dużo? Krystian Zimerman, wybitny polski pianista, by jak najwięcej czasu spędzać na ćwiczeniach, śpi po trzy godziny na dobę.

Zresztą zasada „Im więcej potu na ćwiczeniach, tym mniej krwi w bitwie” nie dotyczy tylko świata muzyki klasycznej.

– Bez praktyki nie ma rozwoju – mówi Wojciech Mazolewski, jazzman grający między innymi w Pink Freud. – Nawet rodząc się z wielkim potencjałem, musimy umieć z niego korzystać.

Ta reguła dotyczy nie tylko muzyków.

– Talent wystarcza jedynie do pewnego wieku – potwierdza Tomasz Celej, były koszykarz grający między innymi w Anwilu Włocławek. – Przykład? Marek Miszczuk był typem gracza, któremu wszystko przychodziło łatwiej niż pozostałym, wkładał we wszystko dużo mniej wysiłku. Bozia dała mu warunki, dała mu rzut. Marek trenował mniej, mniej się przykładał, a rzucał po 50 pkt na mecz, trafiał wszystko. Ale w wieku 21-22 lat to dość nagle się skończyło.

Do niedawna wszystko zatem wydawało się jasne – sukces jest tam, gdzie są mozolny trening i upór. „Talent jest tańszy niż sól kuchenna. Tym, co oddziela osobę utalentowaną od tej, która odniosła sukces, jest mnóstwo ciężkiej pracy” – powiedział Stephen King.

Wierzono w to aż do listopada zeszłego roku.

Nie ucz się i nie pracuj

David Lubinski i Camilla Benbow z Uniwersytetu Vanderbilt postanowili sprawdzić, jak dwa tysiące najzdolniejszych uczniów w USA, z najlepszymi wynikami w testach SAT (standardyzowany test dla uczniów szkół średnich, który można traktować jako test na inteligencję), radziło sobie w późniejszym życiu. Czy zrobili doktorat? Czy opatentowali jakiś wynalazek, napisali książkę? Odpowiedź brzmi: udawało im się to od trzech do pięciu razy częściej niż ich kolegom i koleżankom z mniejszą liczbą punktów w SAT.

O tym, że talent jest jednak bardzo ważny, świadczą też wyniki badań Davida Z. Hambricka z Uniwersytetu Stanowego w Michigan i Elizabeth J. Meinz z Uniwersytetu

w Edwardsville. – Dowody są oczywiste: wysoki poziom zdolności intelektualnych daje zauważalną przewagę, a im wyższe te zdolności, tym lepiej – mówi Hambrick.

Co więc z „Ucz się i pracuj”? Co z optymistycznym przesłaniem książki Gladwella? – David Brookes i Malcom Gladwell po prostu nie mają racji – bez ogródek podsumowują Hambrick i Meinz. I na poparcie tej opinii przytaczają efekty własnych testów. Tym razem obserwowano pianistów. Najpierw ustalono liczbę godzin przećwiczonych przez nich przy instrumencie. Potem zmierzono pamięć operacyjną mózgow pianistów (warunkuje

Wśród pianistów, którzy ćwiczyli tyle samo, częściej wypadali lepiej ci z większą pamięcią operacyjną

zdolność do przechowywania dużej ilości podręcznych danych, z których mózg może efektywnie korzystać). Następnie muzycy zostali sprawdzeni pod kątem poprawności czytania nut, których poprzednio nie znali. Pracusię znów otrzymali kiepskie wieści: z dwóch pianistów o takim samym poziomie doświadczenia częściej lepiej wypadali ten z wydajniejszą pamięcią operacyjną.

Utalentowane lenie mogły w końcu powiedzieć rodzicom: „A nie mówiłem?”

Co z Rayem Charlesem?

Co to wszystko oznacza? Czy wieloletni trud nie gwarantuje nam powodzenia? Czy nie jest jednak cudowną wodą z Fontanny Młodości, a raczej sukcesu, lecz zwykłą kranową o smaku potu i łez?

Spokojnie, na szczęście to nie takie proste. Pierwsze zastrzeżenie do odkryć duetu Hambrick/Meinz dotyczy kwestii artystycznej.

– Czytanie nut ma przełożenie na muzykalność tylko wtedy, gdy pianista, odczytując nuty, jest w stanie na oczekaniu, a prima vista, nadać dźwiękom walory artystyczne, umie odczytać intencje kompozytora. Istnieją pianiści, którzy mogą odtworzyć tekst muzyczny bardzo precyzyjnie, ale robią to mechanicznie, bez interpretacji. To jeszcze nie czyni dobrego muzyka – wyjaśnia Barbara Karaśkiewicz. – Czy czytanie nut przekłada się na sukces, to jeszcze inna sprawa. Osoby z większą pojemnością operacyjną mózgu czy

osoby z ogólnie większą inteligencją na pewno mają na to większe szanse, choć, oczywiście, na sukces składa się więcej rzeczy.

I pomińmy tu nawet casus niewidomego Raya Charlesa, który w teście czytania nut raczej by nie brylował.

Drugi kłopot wiąże się z uproszczeniem. Ani Hambrick i Meinz, ani nikt o zdrowych zmysłach nie będzie odradzał ćwiczeń czy sugerował, że nie mają one żadnego wpływu na naszą karierę. Mimo to po ogłoszeniu najnowszych badań w wielu mediach można było przeczytać teksty z tytułami: „Naukowcy twierdzą: lenie mają lepiej”.

– Nie ma jednej recepty na sukces – mówi prof. Stanisław Popek z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, specjalista od psychologii twórczości, zajmujący się tą tematyką od 40 lat. – Jestem zwolennikiem łączenia wielu teorii, a nie fiksacji na punkcie jednej. Teoria interakcyjna zakłada wielorakość funkcji, które wpływają na zdolność, talent, geniusz. Sfera poznawcza, do której zaliczamy różne typy pamięci, a także sfera intelektualna to tylko jeden wymiar zdolności i uzdolnień. Druga sfera to ta emocjonalna, wrażliwość emocjonalna. Trzecia to sfera woli, związana z motywacją. Nad tym zaś dominują uzdolnienia twórcze, które nie są pochodnymi pamięci ani inteligencji. Uzdolnienia mogą wykorzystywać instrumentalnie zarówno właściwości pamięci, jak i inteligencji, która odzwierciedla jedynie myślenie konwergencyjne.

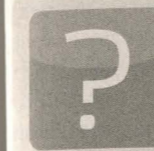
I, żeby pokazać lukę w tezach Hambricka i Meinza, przywołuje geniusz Nikifora.

– W jego przypadku możemy mówić o niskim ilorazie inteligencji czy nawet pewnej ościężałości umysłowej. To w połączeniu z wybitną wyobraźnią przestrzenną dało jednak niesamowite efekty – argumentuje Popek, zaprzeczając także, że praktyka częściej czyni mistrza. – Kura nie znieś indyjskiego jajka, choćby nie wiem, jak się starała. Treningi przy braku pewnych możliwości mogą pomóc do pewnego etapu, ale nie stworzą geniuszu. Można się w ten sposób zbliżyć do mistrzostwa o charakterze rzemieślniczym, lecz nigdy dzięki ćwiczeniom nie stworzymy dzieł o charakterze oryginalnym.

Zresztą nawet gdyby supremacja talentu i pamięci operacyjnej okazała się niezbitą teorią, w zeszłym roku Narodowa Akademia Nauk USA w swoim piśmie opublikowała rezultaty doświadczeń pokazujące, że pamięć operacyjną można ćwiczyć i samodzielnie poprawiać.

Może więc Fontanna Sukcesu majaczy gdzieś na horyzoncie?

TEŻ PYTANIE



Kto pyta, nie błądzi. A my dalej szukamy odpowiedzi na wasze pytania. Nadsyłajcie je na adres: nauka@przekroj.pl. Co tydzień przyznajemy nagrody!

KAROLINA SAWICKA



for: Jeff Speed Photographs/ISTE

1. Parę dni temu, jadąc samochodem, wystawiłem rękę za okno. Okropnie zimno! Jak szybko musiałbym jechać, by tarcie powietrza ogrzewało mi dłoń?

Podobny dylemat, choć związany z nieco innymi warunkami, mają konstruktorzy samolotów. Z jednej strony latającym maszynom grozi oblodzenie, z drugiej – przegrzanie. W przypadku samolotów trzeba wziąć pod uwagę kilka czynników. Chłodzenie wynika tu w mniejszym stopniu z samej prędkości (jak to ma miejsce przy wystawianiu ręki za okno samochodu), a w większym ze spadku temperatury wraz z wysokością. Gdy na poziomie morza panuje sympatyczne 15 stopni Celsjusza, na typowej wysokości przelotowej wynoszącej około 10 kilometrów będzie groźne minus 50 stopni. By zrównoważyć ten

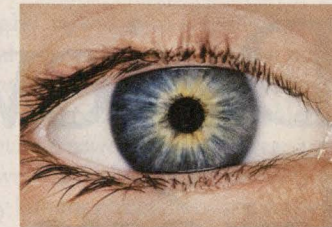
mróz i rozgrzać skrzydła samolotu do „ziemskich” 15 stopni, maszyna musiałaby się poruszać z prędkością sięgającą 1,2 prędkości dźwięku (ok. 1150 km/godz.). A co z ręką za oknem? Tu sprawa jest prostsza – przynajmniej pozornie. Odpada bowiem przenikliwy mróz dużych wysokości. Na poziomie morza przy znanej nam już temperaturze 15 stopni Celsjusza ogrzanie ręki wymaga osiągnięcia prędkości około 63 proc. prędkości dźwięku. Wychodzi, w pewnym przybliżeniu, 780 km/godz. A więc potrzebny będzie naprawdę szybki samochód.

MAREK RACZKOWSKI



2. „Wystarczył rzut oka, by policzyć gości”. No właśnie, ile trwa rzut oka i ile osób da się podczas niego policzyć?

Na pierwszą część pytania trudno będzie odpowiedzieć – rzut oka może być ułamkiem sekundy, a może trwać i 5 czy 10 sekund. Za to dość dokładnie sprawdzono, ile osób (lub innych obiektów) można policzyć podczas naprawdę krótkich rzutów oka. Warto bowiem zwrócić uwagę, że pewną liczbę przedmiotów możemy określić bez liczenia. Jeśli położymy na stole trzy rodzynki, wystarczy spojrzeć, by wiedzieć, ile ich jest. A co będzie, jeśli położymy ich tyle, ile zmieści się na łyżeczce? Tu rzut oka nie wystarczy – trzeba się skupić i policzyć. Gdzie jest więc granica? By ją znaleźć, naukowcy musieli wyeliminować u badanych proces liczenia i wymusić ocenę „na oko”. W tym celu prezentowali obiekty przez ułamek sekundy



for: Oiko Dimitri Vervisiotis/FPM

– ściślej rzecz biorąc – przez 50 milisekund. Uzyskane wyniki różniły się zależnie od tego, kogo badano. Można jednak przyjąć, że rzutem oka możemy ocenić liczbę między 3 a 5 obiektami. Powyżej pięciu bez liczenia nie poradzi sobie prawie nikt. Mechanizm takiego błyskawicznego oceniania tłumaczy się uruchomieniem w mózgu czynności związanych z rozpoznawaniem wzorów, które zapewniały naszym przodkom w toku ewolucji bezpieczeństwo. W końcu ocena, czy przeciwnik jest dwóch, czy czterech, może mieć zasadnicze znaczenie.

3. Czy zwierzęta, podobnie jak ludzie, mają grupy krwi?

Owszem, choć często zwierzęce systemy są znacznie bardziej skomplikowane. Podczas gdy ludzie mają grupy A, B, AB i O, na przykład u psów grupy krwi oznaczane są według systemu DEA, który rozróżnia typy 1.1, 1.2, 3, 4, 5, 6 oraz 7. Koty mają A, B i AB, choć biochemicznie to zupełnie inne grupy niż ludzkie. U koni rozróżniono grupy A, C, D, K, P, Q i U, a u owiec – A, B, C, D, M, R oraz X. Te informacje, podobnie jak u ludzi, są kluczowe przy przetaczaniu krwi.



Nasze nagrody:

Mary Roach „Bzyk. Pasjonujące zespoleństwo nauki i seksu” oraz „Duch. Nauka na tropie życia pozagrobowego” – wydawnictwo Znak; Gary Marcus „Prowizorka w mózgu” i Richard E. Nisbett „Geografia myślenia” – wydawnictwo Smak Słowa

Dziewczyna, która ukradła film

„Dziewczyna z tatuażem” **DAVIDA FINCHERA** na podstawie bestselleru **STIEGA LARSSONA** miała być – z uwagi na te dwa nazwiska – sukcesem. Efekt jest poniżej oczekiwań, a na produkcji filmu najwięcej zyskała mało znana aktorka Rooney Mara, która zagrała Lisbeth Salander

TEKST OLA SALWA

To miał być związek doskonały. Reżyser otoczony kultem „Siedem” i „Podziemnego kręgu” oraz obsypanego nagrodami „The Social Network” wziął na warsztat kryminał „Millennium. Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet”, który na całym świecie sprzedał się w kilkudziesięciu milionach egzemplarzy. Od początku było wiadomo, że jedną z kluczowych decyzji będzie obsadzenie dwóch głównych ról – dziennikarza Mikaela Blomkvista, a przede wszystkim genialnej, aspołecznej hakerki Lisbeth Salander. W Internecie trwały zażarte dyskusje, kto powinien ją zagrać, a Fincher wspomina, że z sugestiami obsadowymi dzwonił do niego liczni hollywoodzcy twórcy, fani książki. – Czułem się tak, jak producenci szukający odtwórczyni Scarlett O’Hary – powtarzał w wywiadach.

Na przesłuchania przyszło kilkadziesiąt aktorek, w tym Natalie Portman, która nie przyjęła oferty, bo była wyczerpana po „Czarnym łabędziu”, i Scarlett Johansson – ją odrzucił Fincher, słusznie zresztą twierdząc, że jest zbyt seksowna, żeby zagrać chudą jak patyk Lisbeth. Gdy wybór padł na mało znaną Rooney Marę, która mignęła w poprzednim filmie reżysera, debatę, czy to dobra decyzja, nie było końca. Kolejną lawinę komentarzy wywołały zdjęcia ucharakteryzowanej aktorki – nastroszone włosy, wybielone brwi,



Rooney Mara z oddaniem i poświęceniem zrealizowała ideę Finchera

piercing. – Ona wygląda jak punki w czasach mojej młodości, czyli w latach 60. – zachwycał się grający w filmie Henrika Vangera Christopher Plummer. Nastrój oczekiwania na premierę podsycali też rzekomo „przeciekające” do sieci plakaty oraz zwiastun. Jednak po pierwszych projekcjach filmu już tak silnych emocji nie było. Po dwóch tygodniach wyświetlania „Dziewczyna z tatuażem” zarobiła zaledwie 60 mln dol. w USA i 72 mln na całym świecie, czyli znacznie poniżej oczekiwań. Czwarta część „Mission Impossible”, która weszła do kin pięć dni wcześniej, zyskała do początku stycznia cztery razy więcej. Dlaczego film Finchera nie ma takiej siły oddziaływania jak literacki pierwowzór?

Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet

„Dziewczyna z tatuażem” to bardzo sprawny i dynamiczny thriller, nietracący tempa przez dwie godziny z hakiem. Niebywała jest choćby czołówka filmu: z nicości wylaniają się niepokojące, oleiście czarne kształty, zapowiadając zło, z jakim zetkną się bohaterowie. Tłem muzycznym jest „Immigrant song” Led Zeppelin wykonywana przez Karen O, a całość przypomina teledysk, czyli jedną ze specjalności Finchera. Jak zwykle w jego filmach każdy drobiazg jest doskonały – szwedzkie plenery, muzyka Trenta Reznora i Atticusa Fincha, rekwizyty, obsada, oprócz Craiga i Mary grają tu też Christopher Plummer, Stellan Skarsgård i Robin Wright.

Książki Stiega Larssona (są w sumie trzy, dwie kolejne to „Dziewczyna, która igrała z ogniem” i „Zamek z piasku, który runął”), jak większość skandynawskich kryminałów, na przykład autorstwa Mai Sjöwall i Pera Wahlgren czy Henninga Mankella, są czymś więcej niż świetnym czytałem, napędzającym akcję i ciekawość czytelników pytaniem „kto zabił?”. To przy okazji społecznie zaangażowana powieść, obnażająca szkodliwe mechanizmy w państwach socjalnego dobrobytu. Leitmotywem trylogii Larssona jest wszechobecna przemoc wobec kobiet i pełna zakłamania zмова milczenia wokół niej. Jedną z ofiar agresji jest Harriet Vanger, 16-latkę, która zaginęła bez śladu w latach 60. Wszyscy byli przekonani, że została zamordowana. Po czterech dekadach jej krewny, bogaty przedsiębiorca Henrik, wynajmuje dziennikarza ekonomicznego Mikaela Blomkvista, bo chce przed śmiercią dowiedzieć się, co się stało z Harriet. To właśnie Blomkvist jest jednym z dwóch głównych bohaterów powieści. Drugą, dla wielu ważniejszą i ciekawszą protagonistką, jest Lisbeth

Salander, autystyczna hakerka, mistrzyni docierania do tajnych informacji i wyciągania z nich wniosków. Najpierw na prośbę Henrika sprawdza ona uczciwość Blomkvista, a potem pomaga mu prowadzić śledztwo. Para bohaterów, szukając prawdy o zniknięciu Harriet, wpada na trop innego spisku z przeszłości: rytualnych mordów kobiet. Lisbeth chętnie włącza się w szukanie zwyrodnialca także dlatego, że sama była w dzieciństwie bita, potem ubezwłasnowolniona przez opiekuńcze państwo, a na końcu brutalnie zgwałcona przez własnego kuratora. Jednak w przeciwieństwie do większości kobiet nie przyjęła roli ofiary i mściła się, stosując zasadę „oko za oko”. Co ciekawe, tradycyjne role płci są tu odwrócone, co zostało zachowane też w filmie. Lisbeth jest bardzo „męska”, bo do tej pory w kulturze rola mściciela kierującego się wewnętrznym kodeksem była przypisana facetom. – Ale ona nie jest żadnym Terminatorem ani Brudnym Harrym – podkreśla Rooney Mara. – Po prostu postępuje według własnych zasad. Z kolei Mikael to inteligentny, wnikliwy, uczciwy gość, a przy tym empatyczny i szanujący wolność oraz odrębność Lisbeth. Czyli, patrząc na większość bohaterów kryminałów i thrillerów, niezbyt „męski”. – On nie musi co chwilę przeżywać muskułów, żeby udowodnić swoją męskość – mówi o swojej postaci Daniel Craig. Między dwójką bohaterów rozwija się fascynująca relacja – ni to przyjacielska, ni to romantyczna. I to właśnie ona zainteresowała Finchera. – Miałem serdecznie dość kręcenia filmów o zwyrodnialcach – mówił w wywiadach reżyser „Siedem” i „Zodiaku”. – Chciałem opowiadać o seksie, relacjach. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Mężczyzna, który miał dość zwyrodnialców

Reżyserowi kryminał Larssona skojarzył się w pierwszej chwili z „Chinatown” Romana Polańskiego, gdzie ofiarą opresji była Evelyn Mulwray grana przez Faye Dunway. – Blomkvist i Salander faktycznie przypominają parę detektywów z filmów noir, tyle że zamiast szkockiej piją kawę i opychają się kanapkami – komentował scenarzysta Steven Zaillian, który napisał wcześniej choćby „Listę Schindlera” i „Hannibala”. Z powieści Larssona wyrzucił sporo pobocznych wątków, część zmienił, aby uwaga koncentrowała się na parze bohaterów. W efekcie fabuła jest bardzo przejrzysta, choć wierni fani książki poczują się rozczarowani. Niestety przy okazji scenarzysta i reżyser stracili z oczu cały kontekst spo-

leczny książki, co widać już w tytule. Larsson akcentował w nim zjawisko, a Fincher postać dziewczyny, która nie chce być ofiarą. Zmowa milczenia wokół przemocy wobec kobiet jest ciągle obecna u szwedzkiego pisarza; autor filmu ten wątek załatwia szybko, choć błyskotliwie. Gdy kurator po raz pierwszy krzywdzi Lisbeth, kamera wychodzi z jego gabinetu na korytarz, gdzie woźny froteruje podłogę, zagłuszając wszystko, co się dzieje w pokoju obok. Trudno o bardziej wyrazistą metaforę społecznej obojętności. „Wyglądało na to, że (...) rejestrował i opisywał niemal każdą kobietę, z którą się zetknął. Zamordował zaledwie ich nieznaczną część, ale wszystkie były potencjalnymi ofiarami” – pisze Larsson, u którego upiorne zbrodnie są kulminacją atmosfery nadużycia i opresji. W filmie wątek kryminalny jest zepchnięty na boczny tor, a rozwiązanie zagadki odbywa się jakby mimochodem. Co reżyser daje w zamian? Wbrew zapowiedziom na pierwszy plan nie wysunęła się relacja Blomkvista i Salander, która jest zresztą dość konwencjonalna: razem prowadzą śledztwo, on jest trochę ospały i ciągle zmarnięty, ona pcha akcję do przodu. Główną bohaterką filmu stała się Lisbeth. Sęk w tym, że reżyserowi nie udało się oddać złożoności jej charakteru.

Dziewczyna, która ma dwie twarze

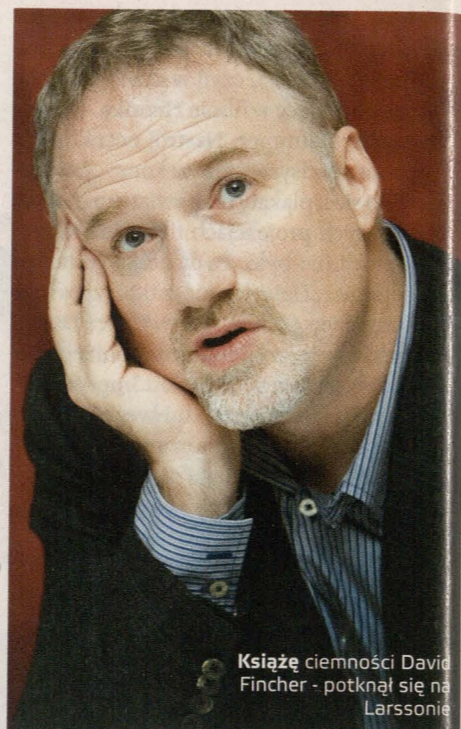
Larsson widział w swojej wytatuowanej bohaterce mroczną wersję Pippi Langstrumpf, dziewczynki z rudymi warkoczyczkami, która miała niezwykłą krzepę i radziła sobie w każdej sytuacji. W Lisbeth jest więc coś dziecięco nieporadnego i dojrzałego zarazem. Autor za jej pośrednictwem pokazał, jak działa mechanizm znęcania się nad kobietami, przejmowania kontroli nad ich życiem oraz seksualnością. Jednocześnie dał dziewczynie wewnętrzny kodeks postępowania, zezwalający na pomszczenie krzywd. Pokazał tym samym, że szwedzkie prawo nie chroni ofiar przed przestępcami, a nawet umożliwia tym ostatnim działanie – kurator Lisbeth może ją bezkarnie molestować, bo stoją za nim urząd i ustawa. Dziewczynie uznanej za niebezpieczną i agresywną nikt nie uwierzy, że dzieje się jej krzywda. Ale hakerka na kartach powieści jest nie tylko twardzielką. Ma w sobie też miękkość i łagodność, która ujawnia się szczególnie w towarzystwie Mikaela. Jest dziewczyną złożoną i tajemniczą, której zachowanie trudno przewidzieć. Ekranowa Salander to bez dwóch zdań postać magnetyczna i fascynująca, poza tym ma nieobecne →

→ w książce ironiczne poczucie humoru. Nie można oderwać od niej wzroku – gdy pojawia się w kadrze, pozostałe postacie bledną. Duża w tym zasługa Rooney Mary, nominowanej za tę rolę do Złotego Globu, a za kilka tygodni na pewno też do Oscara. Aktorka z poświęceniem i oddaniem realizuje wizję Finchera. Niestety reżyser nie pokazał drugiej twarzy Lisbeth – jest ona genialną dziwaczką, seksualnym drapieżnikiem, zabrakło złożoności. No i przez jej postać nie jest tu pokazane żadne zjawisko. Nie jest to specjalne zaskoczenie, bo do tej pory Fincherowi znacznie lepiej i ciekawiej wychodziło pokazywanie mężczyzn niż kobiet.

Mężczyzna, który ma w sobie demony

Ellen Ripley w debiutanckim „Obcym 3” – Fincher zresztą nienawidzi go po dziś dzień – była twardsza niż wszyscy więźniowie na planecie Furia 161 razem wzięci. Zogoloną na jeża głową mobilizuje gwałcicieli, złodziei i pedofilów do walki z obszłinionym potworem z kosmosu. Jodie Foster, cierpiąca na klaustrofobię wykładowczyni w „Azylu”, przechrztyła trzech potężnych bysiorów, którzy napadli na jej dom. W tych portretach kobiet też nie było półcieni, gdy stawały w obliczu trudnej sytuacji, przechodziły do działania i tyle. Męskich bohaterów Fincher pokazywał jako bardziej złożonych, tyle że – co znamienne – skupiał

się głównie na ich słabościach. Detektyw Mills w pogoni za mordercą trafia do piekła. Wystarczył tydzień w deszczowym, dużym mieście, aby policjant z dobrodusznego chłopaka sam stał się mordercą. Zło było w nim czy zakaził się przez dotyk? – pytał w „Siedem” Fincher. Stateczny, bezimienny bohater „Podziemnego kręgu”, adaptacji prozy Chucka Palahniuka, odkrywał w sobie pociąg do walki na pięści, chaosu i anarchii. W tytułowej „Grze” finansista grany przez, a także, Michaela Douglasa dowiadyuje się, ile jest w stanie zrobić pod presją. Z kolei bohater „Zodiaku” pogrążył się w obsesji polowania na seryjnego zabójcę, a niemożność wytopienia go zniszczyła mu życie. W założycielu Facebooka, Marku Zuckerbergu, Fincher dostrzegł socjopatę. Chłopak odrzucony przez dziewczynę (grała ją Mara) szkaluje ją na blogu, co też jest przemocą, tyle że symboliczną. Przygotowania do „Dziewczyny z tatuażem” reżyser rozpoczął zresztą niecały miesiąc po zmontowaniu „The Social Network”. Być może to szybkie tempo realizacji sprawiło, że Fincher nie zdążył sobie zadać pytania, kim jest Lisbeth ani o czym właściwie chce zrobić film. Mimo że do tej pory jego ulubionymi tematami było wyobcowanie bohaterów i okrucieństwo świata wokół nich, czyli na dobrą sprawę to, co pokazał Larsson w powieści, w najnowszej produkcji zabrakło autorskiej wizji świata.



Książę ciemności David Fincher - potknął się na Larssonie

ta. Fincher zresztą nigdy nie zdradził, co go fascynuje w mroku i przemoc. Ponoć kiedyś powiedział Gwyneth Paltrow na planie „Siedem”: – Nie masz pojęcia, jakie demony kryję w sobie. Po obejrzeniu „Dziewczyny z tatuażem” nadal tego nie wiemy.

Kino żeruje na literaturze

Masz swoje ulubione książki? Trzymaj je na półce i czasem po nie sięgaj, żeby poczytać – mawiał Jerzy Koenig

JACEK WAKAR

Kolejność zazwyczaj jest następująca. Wychodzi książka, staje się bestsellerem, już wiadomo, że za chwilę zainteresują się nią filmowcy. A potem trafia na ekrany gotowy film i szczęśliwci, którzy adaptowanej powieści nie lubili. Bo nie żal im wtedy, że filmowcy odebrali jej tajemnicę, niedopowiedzenia zastąpili dosłownością. Bywa tak, że literacki oryginał miał klasę i wdzięk, a na ekranie ich nie uświadczysz. Dobra literatura jest pożywką dla wyobraźni, nachalny obraz ją zabija. Zdarzają się oczywiście od tej reguły

wyjątki. Czasem to kino wspiera literaturę, zachęcając filmem sięgamy po książkę, chcąc przy lekturze jeszcze raz przeżyć te emocje. Najlepszym przykładem jest „Ziemia obiecana” Andrzeja Wajdy według powieści Władysława Reymonta. Wajda odnalazł dla niej ekwiwalent wręcz doskonały, trudno dziś wyobrazić sobie Borowieckiego, Bauma i Welta o twarzach innych niż Olbrychskiego, Seweryna i Pszoniaka. Wajda ma zresztą dobrą rękę do literatury, czego dał wyraz choćby w „Kronice wypadków miłosnych” według Tadeusza Konwickiego, a także we własnej wersji „Pana Tadeusza” Adama

Mickiewicza. Tyle że on akurat brał się za swoje ukochane książki nie z rynkowego przymusu, ale z własnej woli. Tymczasem w światowym kinie ekranizacje uchodzą za łatwiejszy kawałek chleba oraz gwarancję komercyjnego sukcesu. Nie trzeba walczyć o odbiorcę, bo ściągnie go na film tytuł ekranizowanego bestsellera. Łatwiej o scenariusz, bo wystarczy obrobić gotową, raz już napisaną historię, co wobec kryzysu w dziedzinie scenariuszy oryginalnych jest na wagę złota. Skrypty majstersztyki, jak choćby ten Aarona Sorkina (który pracował też przy „Dziewczynie z tatuażem”) do „The Social Network” Davida Finchera, zdarzają się bardzo, bardzo rzadko. Bestsellerzy stają się więc ratunkiem dla filmowców, bo wiadomo, że już raz się sprawdziły. Dlatego ekranizowano już wszystkich i wszystko. Niektórzy mają teorie, że słabym książkom film dodaje

wyrazistości, ale to bardzo rzadki przypadek, aby udało się uratować coś ewidentnie niedobrego. Zdecydowanie częściej psuje się arcydzieła, czego dowodem są niedawne harce po dziełach Marqueza („Miłość w czasach zarazy”), Kafki („Proces”), o dramatach Szekspira (ile krzywd wyrządzili filmowcy „Snowi nocy letniej”...) już nie wspominając. Wiadomo, autor nie zaprotestuje... Czego potrzeba zatem, by powstała ekranizacja dorównująca literackiemu oryginałowi? Kilku czynników, które wydają się sprzeczne. Reżysera, który oprze się pokusie poprawiania książki albo pisania jej na nowo na ekranie, ale będzie wiedział, jakie zmiany są niezbędne, by przetłumaczyć ją na język kina. A że niewielu takich? Cóż, filmów opartych o bestsellery i tak nie ubędzie. Biznes musi się kreć, jakość jest na drugim planie.

TESTAMENTY SPADKI ADROWIZNY

Nowy rok to nowe prawo spadkowe

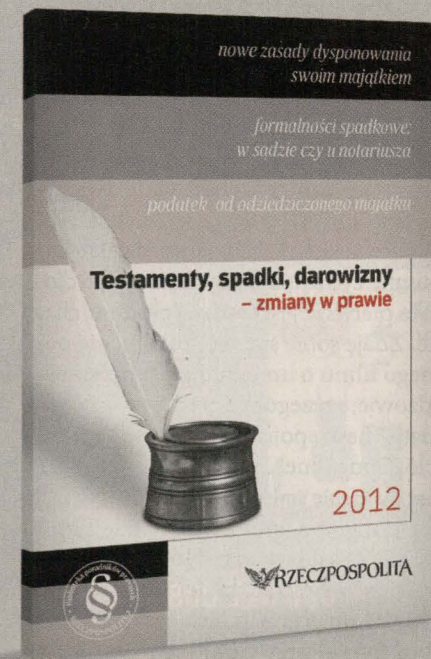
Uporządkuj trudne sprawy z poradnikiem „Testamenty, spadki, darowizny”

Dowiedz się:

- w jaki sposób odwołać testament
- czy można sporządzić testament wspólnie z małżonkiem
- jak zapisać mieszkanie wnuczce
- jakie dokumenty są potrzebne, żeby sprzedać odziedziczone mieszkanie
- skoro jest testament, po co jeszcze potwierdzać prawa do spadku

Poradnik „Testamenty, spadki, darowizny” w poniedziałek, 9 stycznia z „Rzeczpospolitą”

Wydanie z książką dostępne w punktach sprzedaży oraz dla prenumeratorów Pakietu Plus.



FOT. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty



Marian pracuje na oddziale onkologicznym. Pomaga ludziom odejść. Śmierć nie jest fotogeniczna. Dlaczego kobieta wybrała takie zajęcie?

Ze śmiercią jej do twarzy

W końcu sami możemy zobaczyć, co zachwyciło widzów na festiwalach w Cannes i we Wrocławiu. Od 13 stycznia w naszych kinach „Code Blue”, nowy film **URSULI ANTONIAK**. Z polską reżyserką mieszkającą w Holandii rozmawia Ola Salwa

Bohaterką „Code Blue” jest Marian, pielęgniarka pracująca na oddziale onkologicznym. Opiekuje się swoimi pacjentami z zaskakującą troską i czułością, czasem pomaga im odejść. O czym właściwie jest ten film?

– W pierwszej scenie widać twarz krzyczącej kobiety, która ze śmierci budzi się do życia, bo proces umierania pokazuję w odwrotnej kolejności. Śmierć jest piękna, spokojna i cicha, a im bliżej narodzin, tym więcej na tej twarzy pojawia się bólu i przerażenia. Gdybym miała streścić, o czym jest mój film, powiedziałabym, że o triumfie życia nad śmiercią, ale tylko dlatego, że to pierwsze jest bardziej okrutne, chaotyczne. Zdaję sobie sprawę, że robienie pozytywnego filmu o umieraniu jest ryzykowne i widzowie, szczególnie ci, którzy oczekują afirmatywnego spojrzenia na życie, muszą odrzucić „Code Blue”.

Czym jest dla Ciebie śmierć?

– Odkupieniem po bólu życia. „Code Blue” miał bardzo prostą genezę. Mój mąż [Jacek Lenartowicz, współzałożyciel zespołu Tilt – przyp. red.] umierał na moich oczach przez pół roku. Byłam przy nim, przy tym jego

odchodzeniu cały czas i rozumiałam, że doświadczyliśmy największej intymności, jaka była nam dana. Marian to postać, która doświadcza tylko takiej bliskości: największej i ostatecznej. Dla niej seks, miłość i przyjaźń nie mają znaczenia. Potem pomyślałam, że bohaterka może być też metaforą śmierci. Krąży między nami, ale jest właściwie niewidzialna. Dobrze wiedzieć, że jest wśród nas.

W twoim życiu też zjawiała się nieoczekiwanie?

– Mój 41-letni mąż nagle przewrócił się na ulicy. Dwa dni później usłyszeliśmy diagnozę – rak mózgu. A dopiero wróciliśmy z wakacji... Wtargnięcie śmierci w życie było brutalne, nieoczekiwane. Jacek chorował, choć nie wiedzieliśmy jeszcze o tym. Horror raka polega na tym, że odbiera człowieczeństwo umierania. Nie ma takiego wspianego, ludzkiego momentu pożegnania się z życiem. Ginie się codziennie. Po kawałku. To jest śmierć, która sprowadza się do cielesności, utraty wagi, ekskrementów, zapachów, nie ma w tym dumy i godności. Nigdy nie chciałabym się z tym konfrontować. Z drugiej strony, gdy mówię o dumie, od razu myślę o tym, że mój mąż bardzo świadomie

walczył z chorobą, choć w Holandii można się z tej walki wycofać. Na początku myślał o eutanazji, ale zmienił zdanie, nie poddawał się. Zobaczyłam w nim wtedy zupełnie nowego człowieka. I zakochałam się w nim ponownie. Dlatego mam wrażenie, że straciłam go dwa razy. Wyobrażam sobie, że w takiej sytuacji można chcieć, żeby pojawiła się Marian, która zakończy cierpienie umierającego pacjenta.

Umieranie nas przerasta, nie można mówić o kontroli, zachowaniu spokojnego umysłu albo godności. Gdy słyszę, jak ktoś mówi, że eutanazja nie powinna być dopuszczona, myślę sobie: „Co ty człowieku możesz wiedzieć? Nie zdajesz sobie sprawy, o czym mówisz”. Ale wybór powinien zawsze być pozostawiony pacjentowi. Największa tajemnica naszego życia to to, jak się zachowamy w obliczu śmierci.

Jak ty zachowałeś się w obliczu śmierci Jacka?

– Żyłam z mężem 12 lat. Codziennie budziłam się z uczuciem głębokiej wdzięczności, że on cały czas jest ze mną. To było niesamowicie duchowe. Ale afirmację życia przeszedłam dopiero po jego śmierci. Nigdy nie czułam się

tak bardzo zwrócona w jego stronę. Zyskałam ogromną świadomość swojego ciała, istnienia. Przestałam palić papierosy, ale nie ze strachu. Wszystko stało się bardziej zmysłowe, wyraźniej niż kiedyś czułam zapachy. Nawet pierwsze zakochanie nie daje takiej intensywności. Miłość to abstrakcja, wytrąca z życia i izoluje. Śmierć sprowadziła mnie na ziemię.

Śmierć jest tematem tabu, ale z drugiej strony cała kultura, w tym filmy, stara się ją oswoić. Jak wytłumaczyć bowiem niesłabnącą popularność niezwykle okrutnych horrorów takich jak „Piła” czy „Hostel”?

– Uwielbiam horrory z nurtu giallo, reżyrowane przez Dario Argento. Sceny zabijania są tam wyszukane, trup po śmierci staje się rzeźbą. Ich teatralność oswoja z przemocą. Poza tym śmierć w tych filmach jest atrakcyjna, bo giną głównie młodzi ludzie. Gdyby zabijano starszaków, nikt nie chciałby tego oglądać. Ta śmierć, choć pokazywana z detalami, jest nieprawdziwa.

– Jest takim ideałem, kastratem, nie ma w niej cielesności. Gdyby na ekranie pokazać, jak choroba naprawdę niszczy człowieka, ludzie wymiotowaliby.

Zrobiłabyś taki film?

Nikt by tego nie chciał obejrzeć. Widzowie nie chcą być konfrontowani z utratą godności. Ale kino artystycznie powinno poruszać takie tematy. Pamiętam, jak w trakcie przygotowania do „Code Blue” oglądałam film kontrowersyjnego amerykańskiego dokumentalisty Fredericka Wisemana „Near Death”. Nakręcił go w latach 80. na oddziale intensywnej terapii. Jest w nim taka scena: mężczyzna zdecydował się na eutanazję, wokół niego zgromadziła się rodzina. On wybuchł płaczem i krzyczy, że nie chce umierać. I, co jest niewiarygodne, rodzina mówi mu, że przecież już podpisał papiery. Ludzie wtedy mieli inne podejście do prywatności, więc Wiseman kręcił absolutnie wszystko. Krzysztof Kieślowski pewnie wyłączyłby kamerę.

Zastanawiam się, kim są osoby pracujące w takim zawodzie jak Marian, codziennie stykające się ze śmiercią.

– Kiedy mój mąż umierał, obserwowałam je z perspektywy pacjentki. Potem, gdy przygotowywałam film, poznałam ich punkt widzenia i złożyło mi się to w całość: oddział onkologiczny to planeta śmierci. Aby dostać

tam zatrudnienie, trzeba przepracować kilka lat na innych oddziałach, nikt tam nie trafia przypadkiem. Nie wiem, co tymi ludźmi kieruje. Może poszukiwanie duchowości? Gdy nie wierzysz w religię, ani nie znajdujesz niczego, co mogłoby ją zastąpić, wtedy tylko śmierć sprawia, że stajesz przed najważniejszymi pytaniami. Na oddziale onkologicznym holenderskich szpitali najważniejsza jest wydajność, udzielenie dobrej pomocy w ramach godzin pracy. Nie ma ciepła, nie ma intymności, kontaktu. Jeśli holenderska siostra obejrzałaby mój film, od pierwszej chwili wiedziałaby, że Marian nie jest normalną pielęgniarką. Bo żadna z nich nie usiadłaby na łóżku, nie weźmie pacjenta za rękę, nie pogłaszcze go. Założy rękawiczki, gdy chce do niego podejść.

Jesteś religijna?

– Nie, ale jestem z Częstochowy, tam obecność Kościoła była na porządku dziennym. Nawet jeśli się od religijności odejdzie, to samo pojęcie duchowości zostaje w człowieku.

Myślałaś o tym, jak sama chciałabyś umrzeć?

– Bliska mi jest koncepcja Woody’ego Allena, który mawia, że nie ma nic przeciwko śmierci, ale woli przy niej nie być.

REKLAMA

**PRZE
KROJ**

daje do myślenia

Prenumerata na 2012 r.



Szczegóły na www.przekroj.pl/prenumerata i pod numerem infolinii 800 120 195

Utopieni w śmieciach

Północ 31 grudnia 2011 r. oznaczała dla mieszkańców miasta Meksyk nie tylko początek nowego roku. To był również moment zamknięcia największego na świecie wysypiska śmieci – Bordo Poniente. I początek „śmieciowej” powodzi

STANISŁAW RAJEWSKI

Dla tysięcy ludzi wysypisko było domem i miejscem pracy. Tu się rodzili, mieszkali, pracowali i umierali



Marcelo Ebrard, burmistrz meksykańskiej stolicy, ogłaszając w drugiej połowie grudnia decyzję o zamknięciu Bordo Poniente, nazwał ją „historyczną”. W perspektywie kilkunastu miesięcy ma ona doprowadzić do przekształcenia jednego z najbardziej zanieczyszczonych miast na świecie w najbardziej „zieloną” metropolię. Jeśli nie globu, to przynajmniej Ameryki Łacińskiej. Ebrard z Partii Rewolucji Demokratycznej (PRD) faktycznie ma szansę przejść do historii. Ale jako ten, który zagrzebie metropolię w górze śmieci. Powód? Władze miasta zamykając wysypisko, zapomniały zadbać o alternatywne miejsca składowania odpadów. Banalne? A jednak...

Tuż przed Nowym Rokiem okazało się, że negocjacje z operatorami wysypisk w innych miejscowościach ciągle trwają. A obietnice firm, które miały przyjmować i spalać część śmieci, okazały się planami dotyczącymi dalekiej przyszłości, a nie najbliższych dni. W efekcie śmieci z miasta Meksyk po prostu nie są wywożone i coraz grubszą warstwą pokrywają ulice – bez wyjątku – ekskluzywnej dzielnicy Coyoacán, cieszącego się złą sławą Tepito i nawet obleganego codziennie przez tłumy turystów historycznego centrum.

Biorąc pod uwagę liczbę mieszkańców (ok. 25 mln) i gęstość zaludnienia (pierwsze miejsce na świecie), łatwo przewidzieć, że „śmieciowy” problem błyskawicznie osiągnął apokaliptyczną skalę. Miasto Meksyk to jedna z największych metropolii na świecie. Dziennie produkuje prawie 13 tys. ton śmieci. Połowa tego trafiała dotychczas na Bordo Poniente, wysypisko wielkości 300 boisk piłkarskich, założone w 1985 r. w miejscu, gdzie w czasach Kolumba było jezioro. Obecnie głębokość jeziora odpadków w niektórych miejscach dochodzi do 17 m. Mieszkańcy pobliskiej metropolii już biją na alarm, że niedługo ich miasto będzie wyglądało jak Bordo Poniente.

– Po podwórku mojego domu już nie da się przejść – skarży się w rozmowie z „Przekrojem” Irma Cruz, mieszkanka ekskluzywnej dzielnicy Polanco. – Jeśli czegoś z tym nie zrobimy, to zaczynamy wyrzucać śmieci na ulicę, tak jak robią to inni – dodaje. – W stosach odpadów kotują się roje karaluchów i hordy szczurów, a do tego co jakiś czas przewalają się przez nie watahy bezpańskich psów i kotów. Nie muszą dodawać, że wszystko tak śmierdzi, iż nie da się powstrzymać wymiotów – mówił Jose Vargas, mieszkaniec Condesa, dzielnicy →

→ studentów, dla Radia Digital 99. – Miasto Meksyk wygląda i pachnie, jakby przeszedł tu front jakiejś wojny – dodał.

Śmieciowe mrowisko

Z dnia na dzień stanęły trzy przedsiębiorstwa zbierające, wywożące i segregujące śmieci, które zatrudniają ok. 20 tys. osób. Z ulic meksykańskiej stolicy zniknęli charakterystyczni „pepenadores”, piesi zbieracze odpadków, którzy codziennie za drobną opłatą zabierali śmieci sprzed domów, ładowali je na swoje wózki, następnie w określonych punktach miasta – na ciężarówce, które jechały na Bordo Poniente. Nikt ich nigdy nie policzył. Ale organizacje pozarządowe szacują liczbę „pepenadores” nawet na 10 tys. Miasto Meksyk, podobnie jak wiele innych gigantów w krajach rozwijających się, nigdy nie miało jednolitego systemu gospodarowania odpadami. Tutaj się nie wyrzuca śmieci do kontenerów, bo nikt by ich nie opróżnił.

Są dwa sposoby, by się ich pozbyć: o określonej porze w dzielnicy pojawia się śmieciarka, co nie znaczy, że zatrzymuje się przy domach. Należy ją dogonić i wrzucić na nią odpady. Inny sposób to zaczekać na jednego

z „pepenadores”, który za drobny napiwek zabierze nasze śmieci. – Zamknięcie Bordo Poniente to dla wszystkich tych ludzi tragedia. To tak, jakby zamknąć mrówkom mrowisko, ale miejsce pracy i dom. To był ich cały świat – tłumaczy w rozmowie z „Przekrojem” Luis Rojas, szef jednej z trzech firm, które dotychczas wywoziły śmieci. – Co mają teraz zrobić? Przekwalifikować się? Zacząć kraść? Napadać na turystów? – pyta retorycznie.

Spadkobiercy Króla Śmieci

Zamknięcie Bordo Poniente to też problem dla trojga osób stojących na czele firm, które zajmują się oczyszczaniem miasta – Luisa Rojas, Pabla Télleza i Guillerminy de la Torre. Słowo „firma” w tym przypadku jest nieco mylące. Bardziej właściwe byłoby „gang”. Tych troje podzieliło lukratywny biznes śmieciowy w 1987 r. Po śmierci Rafaela Gutiérreza Moreno – człowieka, który według legendy urodził się na wyspisku i pod koniec lat 50. ubiegłego wieku, dzięki bezwzględny zabójstwom, zastraszaniu i przekupstwu, przejął kontrolę nad gospodarką odpadami miasta Meksyk, która do tamtej pory funkcjonowała „na dziko”.

Moreno zdawał sobie sprawę, że można na śmieciach zbić fortunę. Jego imię wkrótce stało się synonimem bogacza, legendarna była też ekstrawagancja Króla Śmieci. Podobno przymusowo wysiedlił rolników z Iztaapalapy (obecnie jedna z 16 dzielnic Dystryktu Federalnego), żeby... zbudować tam osiedla dla swoich „pepenadores”. Popisując się dyskusyjnym gustem, oprawił sobie przednie zęby brylantami. Stał się tak potężny, że rządząca wówczas w Meksyku Partia Rewolucyjno-Institucjonalna (PRI) zaproponowała mu miejsce na listach wyborczych. Król Śmieci bez problemu został deputowanym. W 1987 r., kiedy został zamordowany przez jedną z kochanek, wybuchła krwawa wojna między wdową po Moreno a zbuntowanymi kapitanami. Był to pierwszy w historii moment, kiedy władze metropolii odważyły się wnieść do gospodarki śmieciowej. Dzięki mediacji i groźbom użycia wojska burmistrz skłonił strony do zawarcia pokoju.

Okazało się, że pieniędzy uzyskiwanych z opłat za wywóz śmieci, nawozy i materiały budowlane odzyskiwane z odpadów wystarczy dla trzech gangów. Według nieoficjalnych szacunków „firmy” zarabiają



Ci ludzie właśnie stracili zajęcie. Co mają teraz zrobić? Zacząć kraść? Napadać na turystów?

około 160 mln pesos (czyli 40 mln zł) rocznie. Troje śmieciowych książąt, którzy są w stanie zmobilizować kilkanaście tysięcy zbieraczy, raczej nie przyjmie takiego ciosu po kieszeni z pokorą.

W ostatnich dniach Bordo Poniente wygląda jeszcze bardziej złowrogo niż zazwyczaj. Wszystko przez – nomen omen – martwą ciszę. Apokaliptycznego krajobrazu nie

ożywiają wędrujący śmieciarze. Sztynnego od gazów gnilnych powietrza nad 76 milionami ton odpadów zgromadzonych od połowy lat 80. ubiegłego wieku nie porusza żadna ciężarówka ani spycharka. Największe na świecie wyspisko jakby umarło. A może tylko przeczaiło się na chwilę, żeby pochłonąć miasto Meksyk, jak szepczą między sobą „pepenadores”.



Tysiące ptaków będzie musiało niedługo poszukać innego miejsca do żerowania



Wożenie, segregowanie i ponowne wykorzystywanie śmieci to doskonały interes. Także dla najbiedniejszych mieszkańców stolicy Meksyku

Literatura na wolności

Dzieła Virginii Woolf czy Jamesa Joyce'a trafiły od 1 stycznia do Domeny Publicznej. Świętujemy to ukazaniem się po polsku legendarnego „Finnegans Wake”

JAN MEJOR

Oznacza to, że stają się wolne od autorskich praw majątkowych, co pozwala na nieograniczony do nich dostęp oraz daje możliwość ponownego wykorzystania bez konieczności pozyskiwania zgody spadkobiercy. A ci nie zawsze są łaskawi.

23 maja 2001 r. przed Teatrem Narodowym w Warszawie wielkie zamieszanie. Nad wejściem jeszcze wisi plakat „Giacomo Joyce. Reżyseria Jerzy Grzegorzewski”. Dziś miała odbyć się premiera. No właśnie... Miała, bo w ostatniej chwili dotarła wiadomość od wnuka Jamesa Joyce'a, że nie wyraża zgody na inscenizację tekstu odnalezionego już po śmierci dziadka. Jako spadkobierca praw autorskich ma do tego prawo i już korzystał z niego nieraz, na czym ucierpeli widzowie nie tylko Teatru Narodowego, ale i dublińskiego Abbey Theatre oraz wielu innych. To już jednak przeszłość. „Książka jako książka należy do autora, ale jako myśl należy – i nie ma w tym przesady – do ludzkości. Każdy rozum ma do niej prawo. Jeśli jedno z dwóch praw, prawo pisarza i prawo ludzkiego rozumu, musiałyby ulec, byłoby to z pewnością prawo pisarza, ponieważ naszą jedyną troską jest dobro wspólne i wszyscy, oświadczam, są ważniejsi od nas” – mówił w 1878 r. Victor Hugo w czasie „Przemówienia na otwarcie Międzynarodowego kongresu literackiego”. Słowa pisarza są wstępem do Manifestu Domeny Publicznej.

Obecne prawo europejskie jest bardzo restrykcyjne. Chroni prawa majątkowe przez 70 lat po śmierci autora. Powstają zatem takie paradoksy jak ten dotyczący hymnu Unii Europejskiej, za który przyjęto libretto Fryderyka Schillera do finału IX symfonii Beethovena. A dokładnie jej polskiego tłumaczenia pióra Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego – „O radości, iskro bogów...”. Wedle obowiązującego ustawodawstwa będzie ono chronione prawem autorskim jeszcze przez 12 lat. Każde publiczne wykonanie na szkolnym apelu jest zatem nielegalne. Nie mówiąc już o nagraniu takiego wykonania kamerą wideo.

Nieliczni spadkobiercy decydują się przekazać dorobek autora instytucjom kultury na zasadach licencji. Tak zrobił Ludwik Dobrzyński, który zgodził się udostępnić przepiękny zbiór fotografii Benedykta Jerzego Dorysa Cyfrowej Bibliotece Narodowej Polona. Powstają też liczne projekty digitalizacyjne. Choćby Wolne Lektury, czyli reedycje lektur z domeny publicznej w nowej cyfrowej wersji.

Od kilku lat Koalicja Otwartej Edukacji wspierana przez Bibliotekę Narodową organizuje obchody Dnia Domeny Publicznej, w tym roku podczas spotkania wyłoniono zwycięzcę Turnieju Elektrykałów na najlepszy program dokonujący automatycznego remiksu poezji. Oto jedna z prac konkursowych ukrywającego się pod pseudonimem Rymacza:

„Panowie Panowie pozwólcie”

*Kółkotem gruchotał po wyschłym asfalcie
Gruchotał po wyschłym asfalcie
I wdzięki...
Trzask czaszek grzechot piszczeleli i jęki.
Ręki*

*Pomp złowieszcze jęki
Trwożnej gromady pomp złowieszcze jęki
Zginąć jak pies a tymczasem
Szerokim czerwonym lampasem
Bieży obcesem!*

*O skały i jak łan pokosem
Mówiąc bieży obcesem
Mej duszy zostawił
Nam się objawił
Więc żadnego wstrętu nie zostawił*

*Sztukę niedawno wyprawił
Zostawił*

Koniec.

Program wykorzystał utwory m.in. Sofoklesa, Moliera, Juliusza Słowackiego, Adama Asnyka



James Joyce (1882–1941), pisarz irlandzki tworzący po angielsku. Autor m.in. „Dublińczyków” czy „Portretu artysty z czasu młodości”

Kiedy po nowatorskim, słynącym z techniki strumienia świadomości „Ulissesie” wydawało się, że w literaturze nie sposób już pójść dalej, James Joyce stworzył utwór jeszcze radykalniejszy. W 1939 r., po 17 latach pisania, wydał „Finnegans Wake”. Ostatnia książka Joyce'a to podróż w głąb ludzkiej, boskiej, a może nawet kosmicznej, pogrążonej we śnie zbiorowej jaźni, dla której irlandzki pisarz wynalazł specjalną mowę skomponowaną z neologizmów i wielojęzycznych kalamburów. Z czasem ten oniryczny, wzniesiony na ruinach wieży Babel wszechświat urósł do rangi mitu mającego swych zaprzysięgłych zwolenników i równie nieprzejednanych wrogów. Po dziś dzień „Finnegans Wake” uchodzi za najbardziej tajemniczą książkę XX w.

Dzięki brawurowemu przekładowi Krzysztofa Bartnickiego, ukazującemu się pod tytułem „Finnegans tren”, z tym legendarnym dziełem może wreszcie zapoznać się polski czytelnik. Praca nad tłumaczeniem zajęła mu ponad dziesięć lat.

Wydawca dołożył starań, aby wiernie odtworzyć oryginalny kształt książki – jej format, czcionkę, okładkę zaprojektowaną zgodnie z sugestiami Joyce'a oraz wywiedzioną z matematyczno-geograficznych proporcji liczbę stron, jak wiele wskazuje, zaplanowaną przez autora. W oryginale „Finnegans Wake” zawsze wydawane było w identycznej, 628-stronicowej objętości i taką ma również polski przekład. Dołącza on do elitarnego klubu niewielu powstałych do tej pory kompletnych tłumaczeń tej jedynej w swoim rodzaju książki. „Nie waham się powiedzieć, że praca wykonana przez pana Bartnickiego ma z pewnością charakter przełomowy w polskiej humanistyce. Spodziewam się, że tłumaczenie »Finnegans Wake« będzie wydarzeniem

w polskim życiu kulturalnym, okazją do zadania wielu ważnych pytań” – uważa profesor Tadeusz Sławek.

Premiera książki 29 lutego 2012 r. w korporacji halart.

FINNEGANÓW
TREN
L
JAMES
JOYCE

James Joyce
„Finnegans tren”

Co wieczór dokładnie o godzinie zapalania świateł do odwołania w teatrze Feenichts. (Bar i toalety dostępne bez przerwy w Klubie Dudek schodami w dół.) Biletrans wstępu: łoże dla u bogów, szyling; wyższe sfery, duży szyling. Billedynek jest nowy, przedstawienie we wszystkie dni złowszednie. I pewne poranki sen dzielne. Sen anse specjalne, godziny dla dzieci, chenzurowane. Słoiiki na konfitury, czyste porterówki, na wymianę. Conocne rotacje partii i obsady gwarantuje producent marionetek, duchy dzieńne dubbingi, projektowi błogosławi święty Genesius Archimimus, a patronat raczy sprawować Rada Starszych z tarafii z czterech stron koronyr Findrias, Murias, Gorias i Falias, Panowie Coarbs, Clive Sollis, Galorius Kettle, Pobiedo Lancey i Pierre Dusort, a Cezar Naczelny patrzy. No. Sonat. Ha po tyłu dam po tyłu powtórkach gra nie różni się od premiery z Adelphi Braci Bratysławoff (Hyrcana i Haristobulosa). Przed całą jego Kofilewską Maścią i Królową Matką. Transmotowana przez radio za siedem mórz, jako chmuralny dźwiękopis po certellenoteutosłowianzendłacinie. W czterech szmaktach. Na gorąco w fern sehen firm macht cool. Oto i Mima Micka, Nicka i Madzi, adoptacja Ballymooney Bloodriddon Murther autorstwa Bluechina Blackdillaina (aut kurs na „Wielką Historię”), występują:

GLUGG (Pan Seumas McQuillad, zagadkowe odgłosy pomiędzy automatem z kręgu na drugim piętrze a gagsterem z galerii lotrów), blakczelny bład boy buziak z bajki rodem, o którym, skoro kurtyna pójdzie w górę, dowiemy się, że wiedział czepkolwiek za dużo, odbywały na nim sąd i nad nim rozwodziły się potępiająco

FLORY (Skautki z Zakładu Poprawnego św. Brydy, drze kwaskowe prose), miesiąc pięknych dziewcząt, które, chociaż posiadają swego konika, ulubioną szkapkę do ujeżdżania, z waleryenną licencją są strażniczkami

IZOD (Panna Butys Pott, dziewczyna z obsługi służy prospektem), czarownej blondy z rozkosznymi dołeczkami, której urodą dorównuje tylko wdzięczna siostra z lustrzanego odbicia, w zwiwnym opalu, i której, po rzuceniu Glugga, obiektem fatalnej fascynacji został

CHUFF (Pan Sean O'Mailey, patrz piktoqram kredą i sangwiną na kotarze maskującej), prawy i prostoliniyny płowowłosy przystojniak z powiastki o księciu, co aż po punkt kulminacyjny walczy z blakczelnym boy buziakiem Gluggiem geminalnie o czapki czy buty czy to bołki na brania czy to boksy na broń czy strzelają rudo skórych szut prusk guneeralnie czy bawią się w coś innego dopóki nie rzuca cienia na kogoś tu czy tam, bo wtedy obu zabiera ze sceny i zwozi do domu w celu gruntownego mydlenia, mycia gąbką i szorowania

ANN (Panna Corrie Corriendo, ze szkoły Grischun, pozbierać berbecie, Pieder, Poder, Turtey, podprowadza wezwania for sądu w wielki czwartek, po perdonamento, sto jajnaście wejściówek, pulcynelle nie mogą przegapić narodowej wielkogutnej pisanki), ich biedna stara mamoszka zastępcza, pani domu, nie to co

HUMP (Pan Makeall Gone, z programu czytamy podania z Laxdalesagi o królu Ericusie Szwedzkim i szeptach ducha w jego magicznym hełmie), cap stóp faj kłów, w kapeluszu i z zegarkiem, i z godłym siebie płaszczem podpartym wysoko w stanie, powód wszystkich naszych skarg, światowirc, ciejesność i diabli nadali, który, częściowo oczyszczony ze świeżego zarzutu jajem nigdy nie zniesionym, ale prokonwertyta na wylot, przedłożony do badań cyklogicznych, raz jeszcze stud stawa żagle, kliwry i topstensztaksle, z substancji w miniscencji umbrancji z remnencją emblemacji przypomina quemdam oficera nadzoru ładunku z The Rockery, Poopinheavin, a zajmuje się goszczeniem w domu dla pielgrzymów zmierzających do zollu w Caherlehome-nad-Eskurem osób opisanych w statucie jako

GOŚCIE (Uczestnicy Kursów Po Godzinach Akademii pod wezwaniem św. Patrycjusza dla Dorosłych Dżentelmenów, na pytania dotyczące ssamskrypcji i kalporterazu odpowie annariusz), jakiś tuzin typowych mobilnych obywateli, każdy z innich na eskapauście, których po każdym strzeziennym obsługuje z coraz większym rozmaraniem

SAUNDERSON (Pan Knut Oelsvinger, teff torci ma wolne, nie wychodzi w środku kapścieli, statystuje z pochodnią niby saapper małpa, fał żywa połówka suwerena, co dzień w nocy, rolady pulardy, Glen of the Downs, Gugnir, jego gejerwerki, jego strzearys szajsmiczne, jego lokistarki, o.s.v.), nożczyściel obuwia, synek z kurii, niezaangażowany w kulisy, dieu mniej pod wpływem but wie kogo butt znaczy

KATE (Panna Rachel Lea Varian, przepowiedla przyszłość baschorom, pseud ostonimem →

→ Madam d'Elta wróży to z kart to z rąk te z fusów fu z mętów, w antraktach), kok-a-misko-mywacze, coś wiedznie wierzy w jedno, czy do ma cmentarzu czy top w aasgaarsie, przedstawienie musi trwać.

Czas: ten naglejszy.
Niewyszukonne futurystyczne obrazki balet bitewne i Widowisko Historyczne w opracowaniu na wariacje zwierzęce wew erg ładnej scenerii mangrobagien i beorbtraktorstwa panów Thuda i Blundera. Gra cieni: ludzie filmu, z mas statyści: dobrzy ludzi elf. Suflerka: Elanio Viotale: Długie plany, zbliżenia, wyciemnienia i teatrolety: Hexenschuss, Coachmaher, Incubone i Rocknarrag. Kreacje projektowała ze smakiem Madam Berthe Delamode. Choreografia: Harley Quinn i Coollimbeina. Gagi, żarty, dżigi i czary na Postrenunku użyczone ze zbiorów świętej w cemenci Pana T. M. Finnegana R.I.C. Maski na twarg i earuki: Ouida Nooikke. Limenescencja i Flutorescencja: Crooker i Toll. Kopie pipy: Kappa Pedersen. Kapelusze Hoed Pine z dwudziestoma czterema wywietrznikami: Morgen. Bossa i strun bagaż Heteroditheroes od All Ladies, prezenty. Drzewo przyjęte samo szczep się. Kamień pęk zastaw. Mieszokna z Fenecji a z Sourdynii głuche kołatki odrzwi: Shauvesourishe i Wohntbedarf. Oakna z drzewa morwowego z siatką: sklep wysilkowy Shop-Sowry, seminarium tussor. Bagaże Bragstone od General Orders Mailed. Trzask (Cork, al) wydał palacz od bogów. Głos (Buckley!) dał pirmament tam z parteru. Akompaniamient opatrnie aranżowali: L'Archet i Laccorde. Na początek, na wyjście, trzeba nam z herca horsbeszmark, modlitwą chóralną acz endywidualną, ha całość kończy exodus, warto naszym zdaniem dodać, kanon podnoszący chorale dobry dla nas wszecz dla nas wszecz nas nas wszecz. Pieśni ton między aktami z ambiamfion Annapolis, Joan Mock-Comic, męski sopran, oraz Jean Souslevin, szlachetny bas: O, Mester Sogermon, je szli to just to co pan so dieux życzy, nie podobna mi dziwić sze chce pan butle Sauvequiepu i Oh Off Nunch Der Rasche Ver Lasse Mitsch Nitscht. Na wspięcie rośnie po szczyt, oto sceny do szczytu katastrachiczne, Góra brodata (Polymop Bareterutz) i Rzeka dociera do tarliska (Maidykins in Undiform). Dzieło, w którym gagi, magagia, fragmenty d' opuszczone po interwencji utytułowanych osób chcących zachować anonimowość, zwiń czy na koniec ustawienie Sceny Wielkiej Transformacji, pokaże się wtedy Radowe We-sele Neid i Moorminga i Świt Pokoju, Piękna, Porządku i Permanencji, Witający Wymęczonych tegoś Wiata.
A po tym dyskusja.

Virginia Woolf „A room of one's own: Shakespeare's sister”



Virginia Woolf (1882-1941), angielska pisarka i feministka. Autorka m.in. „Własnego pokoju” (1929), fragment publikujemy poniżej.

Let me imagine, since the facts are so hard to come by, what would have happened had Shakespeare had a wonderfully gifted sister, called Judith, let us say. Shakespeare himself went, very probably - his mother was an heiress - to the grammar school, where he may have learnt Latin - Ovid, Virgin and Horace - and the elements of grammar and logic. He was, it is well known, a wild boy who poached rabbits, perhaps shot a deer, and had, rather sooner than he should have done, to marry a woman in the neighborhood, who bore him a child rather quicker than was right. That escapade sent him to seek his fortune in London. He had, it seemed, a taste for the theatre; he began by holding horses at the stage door. Soon he got work in the theatre, became a successful actor, and lived at the hub of the universe, practicing his art, exercising his wits in the streets, and even getting access to the palace of the queen.

Meanwhile his extraordinarily gifted sister, let us suppose, remained at home. She was as adventurous, as imaginative, as agog to see the

world as he was. But she was not sent to school. She had no chance of learning grammar and logic, let alone of reading Horace and Virgil. She picked up a book now and then, one of her brother's perhaps, and read a few pages. But then her parents came in and told her to mend the stockings or mind the stew and not moon about with books and papers. They would have spoken sharply but kindly, for they were substantial people who knew the conditions of life for a woman and loved their daughter - indeed, more likely than not she was the apple of her father's eye. Perhaps she scribbled some pages up in an apple loft on the sly, but was careful to hide them or set fire to them. Soon, however, before she was out of her teens, she was to be betrothed to the son of a neighboring wool-stapler. She cried out that marriage was hateful to her, and for that she was severely beaten by her father. Then he ceased to scold her. He begged her instead not to hurt him. He would give her a chain of beads or a fine petticoat, he said; and there were tears in his eyes. How could she disobey him? How could she break his heart? The force of her own gift alone drove her to it. She made up a small parcel of her belongings, let herself down by a rope one summer's night and took the road to London. She was not seventeen. The birds that sang in the hedge were not more musical than she was. She had the quickest fancy, a gift like her brother's, for the tune of words. Like him, she had a taste for the theatre. She stood at the stage door; she wanted to act, she said. Men laughed in her face. The manager - a fat, loose-lipped man - guffawed. He bellowed something about poodles dancing and women acting - no woman, he said, could possibly be an actress. He hinted - you can imagine what. She could get no training in her craft. Could she even seek her dinner in a tavern or roam the streets at midnight? Yet her genius was for fiction and lusted to feed abundantly upon the lives of men and women and the study of their ways. At last - for she was very young, oddly like Shakespeare the poet in her face, with the same grey eyes and rounded brows - at last Nick Greene the actor-manager took pity on her; she found herself with child by that gentleman and so - who shall measure the heat and violence of the poet's heart when caught and tangled in a woman's body? - killed herself one winter's night and lies buried at some crossroads where the omnibuses now stop outside the Elephant and Castle (...)

But for my part, I agree with the deceased bishop, if such he was - it is unthinkable that any woman in Shakespeare's day should have had Shakespeare's genius. For genius like

Shakespeare's is not born among labouring, uneducated, servile people. It was not born in England among the Saxons and the Britons. It is not born today among the working classes. How, then, could it have been born among women whose work began, according to Professor Trevelyan, almost before they were out of the nursery, who were forced to it by their parents and held to it by all the power of law and custom? Yet genius of a sort must have existed among women as it must have existed among the working classes. Now and again an Emily Bronte or a Robert Burns blazes out and proves its presence. But certainly it never got itself on to paper. When, however, one reads of a witch being ducked, of a woman possessed by devils, of a wise woman selling herbs, or even of a very remarkable man who had a mother, then I think we are on the track of a lost novelist, a suppressed poet, of some mute and inglorious Jane

Austen, some Emily Bronte who dashed her brains out on the moor or mopped and mowed about the highways crazed with the torture that her gift had put her to. Indeed, I would venture to guess that Anon, who wrote so many poems without signing them, was often a woman. It was a woman Fitzgerald, I think, suggested who made the ballads and the folk-songs, crooning them to her children, beguiling her spinning with them, on the length of the winter's night. This may be true or it may be false - who can say? - but what is true in it, so it seemed to me, reviewing the story of Shakespeare's sister as I had made it, is that any woman born with a great gift in the sixteenth century would certainly have gone crazed, shot herself, or ended her days in some lonely cottage outside the village, half witch, half wizard, feared and mocked at. For it needs little skill in psychology to be sure that a highly gifted girl who had tried to use her



Marina Cwietajewa (1892 - 1941), poetka rosyjska. „Myśle, że nikt lepiej nie pisał, w każdym razie nie po rosyjsku” - mówił o niej Josif Brodski. Wiersz „Kraj” napisała w 1931 r. w Paryżu.

Марина Цветаева

СТРАНА

С фонарем обшарьте
Весь подлунный свет!
Той страны - на карте
Нет, в пространстве - нет.

Вытита как с блюда,
Доньишко блестит.
Можно ли вернуться
В дом, который - скрыт?

Заново родится -
В новую страну!
Ну-ка, воротится
На спину коню

Сбросившему! Кости
Цель-то хотя?
Эдакому гостю
Булочник ломтя

Ломаного, плотник -
Гроба не продаст!
...Той ее - несчетных
Верст, небесных царств,

Той, где на монетах -
Молодость моя -
Той России - нету.
- Как и той меня.

কলান্তি

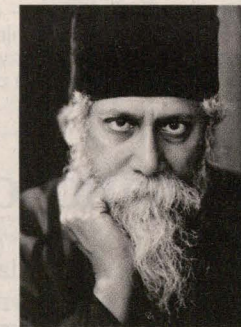
কলান্তি আমার কষমা করু পূরভু,
পথে যদি পছিষি.১ পড.কিভু।
এই-যে হযি.১ থর ঋর াকাঁপে আজি এমনতরু া
এই বদেনা কষমা করু া কষমা করু া কষমা করু াপূরভু।
এই দীনতা কষমা করু াপূরভু,
পছিন-পানো তাকাই যদি কিভু।
দিনরে তাপে রু দ্রজ্বালায় শূকায় মালা পূজার থালায়,
সহে মলানতা কষমা করু া কষমা করু া কষমা করু াপূরভু

Rabindranath Tagore

Song VII of Gitanjali:

Amar e gan chherechhe tar shôkol ôlongkar
Tomar kachhe rakhe ni ar shajer ôhongkar
Ôlongkar je majhe pôre milônete aral kôre,
Tomar kôtha dhake je tar mukhôro jhôngkar.
Tomar kachhe khatê na mor kobir gôrbo kôra,
Môhakobi, tomar pae dite chai je dhôra.
Jibon loe jôton kori jodi shôrol bâshi gori,
Apon shure dibe bhoi sôkol chhidro

My song has put off her adornments.
She has no pride of dress and decoration.
Ornaments would mar our union; they would come between thee and me; their jingling would drown thy whispers.
My poet's vanity dies in shame before thy sight.
O master poet, I have sat down at thy feet.
Only let me make my life simple and straight,
like a flute of reed for thee to fill with music.



Rabindranath Tagore (1861 - 1941), indyjski poeta, prozaik. Laureat Nagrody Nobla za rok 1913. Pisał po bengalsku, większość utworów sam tłumaczył na angielski. „Pieśni ofiarne” (Gitanjali) napisał w 1912 r.

FILM

Wszystko o jego matce

Wyśmienita, choć przerażająca kronika rodzinna, czyli „Musimy porozmawiać o Kevinie”



OLA SALWA

Trwa doroczne Święto Pomidorów. Owoce rozbite na papkę tworzą bajoro czerwieni, w której pluska się młoda, szczęśliwa dziennikarka Eva (magnetyzująca Tilda Swinton). Kolor symbolizujący pasję po latach pojawi się jako znak przemocy, gdy jej nastoletni syn Kevin zamorduje kolegów ze szkoły. Od tego koszmarnego dnia Eva codziennie pyta samą siebie, jak do tego doszło.

Wspomina dzieciństwo chłopca: upartego i krnąbrnego. Pamięta, że jadł chipsy i zabijał potwory w grach wideo. Przypomina sobie własną niemoc, złość – nigdy nie chciała tego dziecka, nie umiała go pokochać. Czy to uczyniło z niego potwora? A może zło było

w nim od urodzenia i tylko ogromniało, jedząc płatki śniadaniowe? Lynne Ramsay nie ocenia Evy, nie szuka prostych diagnoz. Oskarża ją tylko o jedno – o grzech zaniechania, bo zamiast skonfrontować się z sytuacją, porozmawiać o synu z mężem, kobieta pozwoliła czerwieni dojrzewać. Wątpliwości nie mają za to sąsiedzi Evy i rodzice ofiar Kevina, którzy symbolizują tu skłonne do łatwych osądów społeczeństwo – winna jest matka. Trzeba ją ukarać, zalać dom karmazynową farbą.

Lynne Ramsay opowiadając historię rodziny, wykorzystuje nieoczywistą narrację, której głosem są między innymi kolory – oprócz czerwieni ważne są ciepła żółć i chłodny granat, które

symbolizują rodzinną miłość albo jej brak. Forma filmu w całości jest niebywała, ma w sobie coś z horroru, sennego koszmaru, ale i pamiętnika. Wszystkie te elementy reżyserka wykorzystuje w swoim niezwykle mądrym, zniuansowanym i poruszającym filmie, aby szukać odpowiedzi na pytanie, skąd właściwie bierze się miłość, dlaczego czasem rodzi się natychmiast, bez wysiłku, a czasem dotarcie do niej trzeba okupić ogromnym cierpieniem. I czy wolno nie kochać, nawet własnego dziecka?

„Musimy porozmawiać o Kevinie”, reż. Lynne Ramsay, Wielka Brytania, USA 2011, 112', premiera 13 stycznia

Melancholia zwyciężyła

W „Oslo, 31 sierpnia” urodziło się cudowne dziecko Larsa von Triera

Już poprzedni film Joachima Triera „Reprise. Od początku, raz jeszcze...” pokazywał, że z Larsem von Trierem łączy Norwegia nie tylko nazwisko. Nieodwracalność życiowych wyborów, fatalizm, melancholia – te motywy obu jego filmów są zbieżne z kinem Duńczyka. O ile w swoim debiucie pocieszenie Joachim Trier znajdował w tworzeniu: filmie, w którym wypadki można

„przewinąć”, dając bohaterom drugą szansę, o tyle w „Oslo, 31 sierpnia” nadziei nie daje nawet kino. Główną postać gra znany z „Reprise” Anders Danielsen Lie. Jego bohater po odwyku usiłuje zacząć wszystko od nowa. Świetna rola! Na twarzy Lie, w każdym jego ruchu walczą ze sobą rezygnacja z życia i – paradoksalnie – chęć złapania się czegoś, co odwieść go od myśli samobójczych. Trier świetnie czuje kino. Precyzyjnie konstruuje dialogi i sceny, które podważają wiarę w miłość. Jeśli idealne dzieciństwo nie uchro-

niło Andersa od upadku w dorosłym życiu, to jaki jest sens zakładania rodziny? Jeśli małżeństwo zabija entuzjazm, to dlaczego tak desperacko do niego dążymy? Siłownie i baseny, na których od kilku dni trwa walka, by zacząć „od początku, raz jeszcze...”, to nie miejsce na te pytania. Chyba że w ramach noworocznych postanowień zamiast o ciało zadbać teraz o ducha. Wtedy film Triera powinien być pierwszą pozycją na noworocznej liście.

KAROLINA PASTERNAK

„Oslo, 31 sierpnia”, reż. Joachim Trier, Norwegia 2011, 95', Aurora Films, premiera 13 stycznia

Droga na drugą stronę

Gdy wolność zmienia się w rozpacz, rodzą się demony

Marian (Bien de Moor) zdaje się być bratnią (siostrzana) duszą pianistki z książki Jelinek i filmu Hanekego. Tyle że jeszcze bardziej od niej samotną i obciążoną innym bagażem kulturowym. Bohaterka „Code Blue” jest kobietą w średnim wieku. Pracuje jako pielęgniarka na oddziale paliatywnym, wieczorami zaś wraca do swego pustego mieszkania, gdzie ogląda pornosy, podgląda sąsiadów albo oddaje się fantazjom sadomasochistycznym.

Pianistka Jelinek mężczyłą się w kulturze katolickiej, w społeczeństwie konserwatywnym i opresyjnym. Marian natomiast żyje w liberalnej Holandii. Jednostka wyzwołała się tu z religii, z nakazów, z tabu. Odcięła się nawet od ciała i tego, co się z nim wiąże: rozkoszy, choroby, śmierci. A tam, gdzie wolno wszystko, niemożliwe staje się przekroczenie. Pielęgniarka desperacko poszukuje jakiejś „transgresji”. W szpitalu „pomaga” swoim pacjentom przejść na tamten świat, seks łączy się dla niej z perwersjami i gwałtem. Jednocześnie dręczy ją poczucie winy, tyle że jej sumieniem nie zajmują się już ani prawo, ani Kościół.

Ten zimny, sterylny, voyeurystyczny film można uznać za obraz wolności posuniętej tak daleko, że przeradza się ona w pustkę, apatię, rozpacz. Choć – zważywszy na fakt, że autorka „Code Blue”, Urszula Antoniak, pochodzi z zachowawczej Polski – równie dobrze da się w nim dostrzec lęk przed cielesnością i demonizowanie seksu. Jedno nie ulega wątpliwości – kultura była, jest i będzie źródłem cierpienia. Zarówno ta tradycyjna, jak i ta liberalna. **BARTOSZ ŻURAWIECKI**

Rozmowa z Urszulą Antoniak na s. 30

„Code Blue”, Holandia 2011, reż. Urszula Antoniak; stowarzyszenie Nowe Horyzonty; 81', premiera 13 stycznia

OFF plus+ camera prezentuje **bierzcie i kręćcie**

zbierz ekipę i nakręć film!



wygraj: **3x3000\$**

weekend w Krakowie

www.idfilm.pl



plus+ Ty plus festiwal

allegro Short Film

tvn24 Relacja z wydarzenia



„Turyści” – chorzy ludzie w chorej rzeczywistości

Trauma tropików

„Turyści” Leny Frankiewicz, czyli nowe otwarcie w poznańskim Nowym

JACEK WAKAR

Kibicuję Lenie Frankiewicz. Najpierw aktorka Teatru Współczesnego we Wrocławiu – grała tam między innymi Porcję w „Kupcu weneckim” Szekspira. Potem przeniosła się do Warszawy w poszukiwaniu nowych wyzwań. W teatrze Studio znajduje ich zbyt mało, więc coraz częściej zwraca się ku reżyserowaniu. Pamiętam jej świetny – nostalgiczny i gorzki – debiut na deskach Wytwórni. W autorskim przedstawieniu „60/09” przefiltrowała przez naszą

dzisiejszą wrażliwość klimat lat 60., książek Dygata, filmów Morgensterna. Potem przekształciła się na monodramie Doroty Abbe „Kto znajduje, źle szukał” według Aglái Veteranyi, ale nawet ta porażka mówi o Lenie Frankiewicz coś ważnego. To jest artystka, która niczego nie udaje. Nie adaptuje na scenę, bo ja wiem, Musil albo Brocha, ale utwory na jej obecność miarę. I mówi przez nie coś własnego i ważnego jednocześnie – o swoim pokoleniu, o takich jak ona sama. „Turyści” Magnusa Dahlstroma, których wystawiła w Poznaniu, dodają nową barwę do tego obrazu.

Sytuacja niby całkiem zwyczajna. Dwie pary na wymarzonej urlopie, tropikalna wyspa, all-inclusive, zero stresów. Basen, drinki z parasolkami, wszystko podawane pod nos. Marzenie, które zamieniło się w koszmar. Doświadczają go bohaterowie, którym szwedzki pisarz nie daje imion. Mamy na scenie Ciemnowłosa Kobietę (Gabriela Frycz), Popielatą Blondynkę (Edyta Łukaszewska), Mężczyznę w Okularach (Cezary Łukaszewicz), Atletycznego Mężczyznę (Mateusz Zaniewski) – dwa razy każdą, dwa razy każdego. Urwali się na chwilę, by odreagować uwierającą codzienność.

Wpadli w bagno, które sami sobie stworzyli. Atrakcyjność tekstu Dahlstroma polega na tym, że czwórka ludzi naciera się olejkami i opowiada o szaleństwie otaczającego ich świata. Z półstówek, min i grymasów wnioskujemy, że tym turystom zamiast tradycyjnego urlopu bardziej przydałaby się terapia. Bo Szwed opisuje nie tylko chorą rzeczywistość, ale i chorych ludzi. Kawalek po kawalku zżeranych przez strach – przed wszystkim i samym sobą. Aktoży Teatru Nowego grają to bez czułościowości. Edyta Łukaszewska obnaża kolejne poziomy hipokryzji swej bohaterki, Cezary Łukaszewicz pod twarzą niewinnego chłopca skrywa czystą agresję, Gabriela Frycz strzela kaskadami słów, kryjąc niepewność swej postaci, Mateusz Zaniewski punktuje pustkę Atletycznego Mężczyzny i zachwyty jego fizycznością.

W pierwszej części „Turyści” toczą się wartko, w mocnych dialogach, przy aktorskiej brawurze. Frankiewicz robi widowisko, co się zowie atrakcyjne. Jedni znajdą w nim rozrywkę, drudzy wręcz antyutopię. Potem dramat dryfuje ku fantasmagorii, a przedstawienie nieco siada. Ale to nic – w trakcie grania uda się pewnie zszyc to w spójną całość.

„Turyści” to pierwsza premiera w Nowym za dyrekcji Piotra Kruszczyńskiego. Trafny wybór – zwiastuje powrót teatru zespołowego, jaki proponowali tu niegdyś Izabella Cywińska i Eugeniusz Korin.

★★★★

„Turyści” Magnusa Dahlstroma, reżyseria Lena Frankiewicz, scenografia Melania Muras, choreografia Leszek Bzdyl. Teatr Nowy w Poznaniu

matów Samuela Becketta. Rani swoją kobietę, ale godzi we własny bezwład, uwiąd, niemoc. Lewiwa Anny Seniuk wcale nie przyjmuje wobec niego postawy defensywnej. Wyrzeka na niego i na swój los, obraża go, prowokuje. Seniuk gra to wszystko zaskakująco, szerokim gestem i mocnym głosem, czasem aż zbyt efektownie. Jakby chciała rozbroić wpisany w „Udrękę życia” sentymentalizm prozą i grozą typowymi dla innych sztuk Levina. Świetne to role, szczególnie cieszy powrót Seniuk, która przez lata nie dostawała na narodowej scenie zadań na miarę jej aktorskiej siły. A że ktoś powie, iż Englert zaproponował teatr stary, archaicznymi zbudowany środkami, czasem wręcz patetyczny? Jego sprawa. Odpowiem prosto – uczucia się nie starzeją. Nie warto wstydzić się wzruszeń.



Anna Seniuk i Janusz Gajos – być ze sobą trudno, odejść się nie da

„Udręka życia” Hanocha Levina, przekład Agnieszka Olek, reżyseria Jan Englert, scenografia Barbara Hanicka, muzyka Stanisław Radwan. Teatr Narodowy w Warszawie

Rozproszona ikona

Siniaki na ramieniu i podwójne majtki, czyli jak Monroe zatrzymała ruch na Manhattanie

KUBA DĄBROWSKI

Nowy Jork, noc z 14 na 15 września 1954 r. Na ulicach miasta trwają zdjęcia do „Słomianego wdowca”, romantycznej komedii na podstawie broadwayowskiego hitu George’a Axelroda. W rolach głównych – Marilyn Monroe i Tom Ewell, reżyseruje Billy Wilder. Nad ranem, na skrzyżowaniu Lexington Avenue i Pięćdziesiątej Drugiej, kręcona jest scena randki głównych bohaterów. Spece od promocji rozpuścili w dziennikarskim środowisku wieści, że Monroe pojawi się na planie w stroju, który „zatrzyma ruch na całym Manhattanie”. Zjeżdża się kilkudziesięciu fotografów, pęcznieje tłum gapiów. Po pewnym czasie na barierki napiera prawie 5 tys. osób. Ruch jest sparaliżowany.

Scenariusz sceny wygląda następująco: po obejrzeniu filmu pod tytułem „Potwór z Czarnej Laguny” bohaterowie wychodzą z kina i następuje pierwszy pocałunek. W tym czasie, dla ochłody, grana przez Marilyn Monroe bohaterka staje na kracie wentylacyjnej metra i pęd powietrza podwiewa do góry jej białą sukienkę. Kiedy tłumowi na sekundę ukazują się bielizna aktorki, rozlegają się oklaski i następuje seria fotograficznych fleszy (zdając sobie sprawę z mocy lamp błyskowych, Monroe przezornie założyła dwie pary majtek). Billy Wilder krzyczy: „Cięcie!”. Przy kolejnych dublach sytuacja powtarza się, zdenerwowana aktorka zaczyna mylić kwestie, oklaski i okrzyki są coraz głośniejsze. W tłumie krąży Joe DiMaggio, mąż Monroe. Baseballista nie przepada za rozgłosem i na ogół trzyma się z daleka od planów filmowych żony, ale skoro gwiazda



For: George S. Zimbel/Getty Images

gra akurat w Nowym Jorku, korzysta z okazji. Po wieczorze spędzonym w barach jest lekko podchmielony. I zły. Uważa, że ta sytuacja jest dla jego żony co najmniej upokarzająca. Wstrzymuje kilkanaście minut i wraca do hotelu. Po powrocie Monroe w pokoju wybucha małżeńska awantura. Następnego dnia Joe DiMaggio odlatuje do Los Angeles, a makijażystki na planie tuszują liczne siniaki na ramieniu aktorki. W październiku, po dziewięciu miesiącach burzliwego małżeństwa, para się rozwodzi.

Ze względu na hałas tłumy i flesze reporterów kręconej przy Lexington Avenue sceny nie da się wykorzystać w montażu. Wilder decyduje się na dokrętki w studiu.

Jednak działająca zgodnie z konserwatywnym kodeksem Haysa hollywoodzka cenzura nie przepuszcza do kinowej dystrybucji żadnego ujęcia, w którym widać cokolwiek powyżej kolana.

Na ekranie scena pojawia się zatem w wersji okrojonej, bieliznę Marilyn Monroe widać tylko na zdjęciach.

ŁADNE RZECZY

Dwa w jednym, czyli stolik i donica na kwiaty (lub nachos) Moniki Forster



OLA SALWA

Taniec z gadżetami

Czyli jak w karnawale okiełznać żywioł domowej imprezy



Najważniejsza jest aranżacja przekąsek. Będą apetyczniejsze na tych tacach Moniki Forster

Sok z cytryny wyciśnięty za pomocą gadżetu Alessi wzmocni smak magicznych napojów

Urządzenie przyjęcia w mieszkaniu przypomina bieg z przeszkodami. Zanim dotrzemy do punktu, w którym zaczyna się dobra zabawa, czekają na nas liczne pułapki i wykańczające manewry towarzysko-domowe. Trudność pierwsza to ustalenie terminu i konieczność negocjowania go z gośćmi. W przypadku dziecięcych problemów jest zazwyczaj znalezienie opiekunki. Niedzielnicy wykrecą się zapomnianą lekcją muzyki... Ułatwieniem bywa oczywiście ustalenie sztywnych dat, z którymi nie wypada dyskutować, jak sylwester, Trzech Króli, dziesiąte urodziny, ostatni piątek karnawału. Ale i tak w ostatniej chwili 10 proc. gości uzna, że

ma coś ważniejszego do roboty, na przykład pielęgnowanie własnej migreny. Druga przeszkoda, jaką musimy pokonać, to odpowiednia lista gości. Trzeba ją skomponować z ludzi, których naprawdę chcemy widzieć, ich partnerów, nawet jeśli są okropnymi nudziarzami mówiącymi wyłącznie o sobie i swojej pracy. Do tego dochodzą osoby, które zawsze nas zapraszają, oraz te, które chcemy, by nas zapraszały w przyszłości. Ale i tak zawsze kogoś obrazimy przez pominięcie. Po wysiłku umysłowym czeka fizyczny, czyli kupowanie zaopatrzenia, gotowanie, sprząatanie, polerowanie figurek z Azji Mniejszej, przestawianie mądrych książek do pokoju balowego,



Podczas imprezy sowa z kolei zamyka butelkę wina

Plastikowe kamyki Marble ukryją guacamole. Projekt Monika Forster

Jeśli goście cię strasznie nudzą, zajmij się robieniem im martini w kieliszku Sagaform



Obiekt może być wazonem na kwiaty (od gości) lub wazą na kompot (dla gości)

zabieranie z widoku wszystkich brukowców, kolorowych powieści w miękkiej oprawie oraz komedii romantycznych. Jak sobie umiemy przygotowania do party? Najlepiej za pośrednictwem gadżetów i zabawek. Kolorowe pudełka na wykałaczki, ładne szklanki i kafełki, mieszadełka do drinków - wszystkie rzucają nasze nerwy. Przynajmniej na chwilę. Na koniec zostaje tylko wybór muzyki i odpowiedniego stroju imprezowego. Oraz siła woli, aby nie wypędzić wszystkich gości godzinę po przyjściu, bo padamy ze zmęczenia, tak nas przygotowania do tego przyjęcia wyczerpały.

KRZYŻÓWKA NR 2

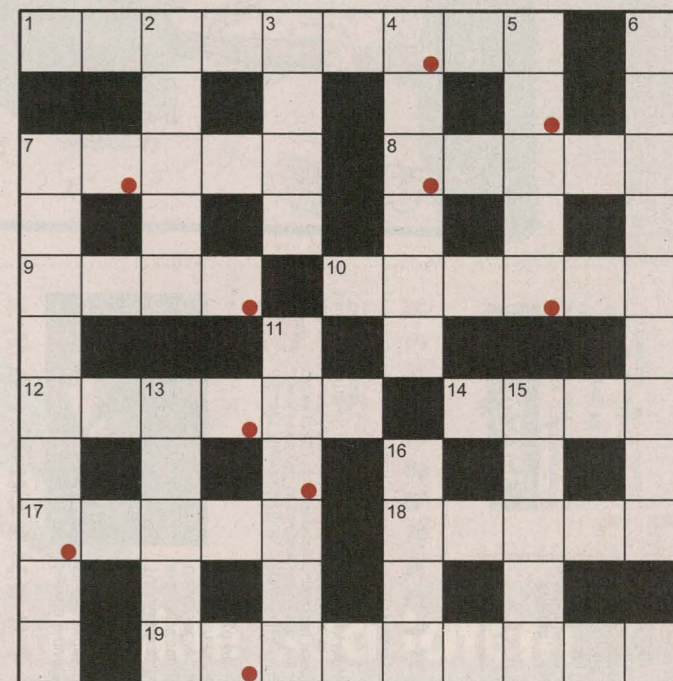
Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz rozwiązanie.

POZIOMO:

1. TRAPEZ DO ĆWICZEŃ
7. ZALEŻY OD POPARCIA
8. ŻADNA NIE HAŃBI
9. CZASAMI NIE WYPADA
10. ROZMOWA KONTROLOWANA
12. GRZEJE ŁAWĘ
14. NIE LUBI ŻEBEREK
17. JEDEN PO DRUGIM
18. ZOSTAJE W SZKOLE PO LEKCJACH
19. MAMKA KRÓLÓW

PIONOWO:

2. KŁADZIE DZIECKO DO ŁÓŻKA
3. RYBA W KAPELUSZU
4. IDZIE NA PIWO
5. DROGA LINII
6. OLEJ BIZNES
7. W ZAKŁADZIE KARNY
11. DIABŁA WARTA
13. PIASEK Z WORKA
15. MÓWI GŁOSEM SERCA
16. ARSENAŁ WESELY



Wygraj jeden z 10 bonów. Rozwiąż krzyżówkę i prześlij do nas hasło. Wyślij sms o treści PRZEKROJ.HASLO KRZYŻÓWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: Presspublica Sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 2”. Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 15 stycznia 2012 r. Koszt sms-a: 2 zł netto/2,46 zł brutto.

ROZWIĄZANIA Z NR. 50

Krzyżówka: EMANCYPANTKI

Poziomo: 1. PISAŁ TEKSTY 2*1 - MATEMATYK 7. DZIEWIĘĆ MIESIĘCY PRZED BŁIŻNIETAMI - PANNA 8. CZĘŚĆ ROKU - GRUPA 9. JEDNOSTKA SIŁY - GROM 10. BABIE Z WOZU PO NIM LŹEJ - DYSZEL 12. ZDRADZONY PRZEZ NAUCZYCIELKĘ - TAJNIK 14. MOŻE UTKWIC W PAMIĘCI - GROT 17. WYCIĄGA RYBY DO WODY - WYWAR 18. MOŻE BYĆ - DOBRA 19. PODNOŚI GŁOS - REGULATOR

Pionowo: 2. DO WCIĄGANIA - MASZT 3. MA KOŃSKIE ZDROWIE - ARAB 4. SPORA CZĘŚĆ RUSKICH - TWARDG 5. NA WAGĘ ZŁOTA - KARAT 6. MOŻE MI NAWRZUCAĆ - LISTONOSZ 7. DZIURA BUDŻETOWA - SKARBONKA 11. ŻÓŁTY KRUK - UNIKAT 13. KIELBASA PODAWANA W CHLEBIE - ŻUREK 15. WIEJE, GDZIE PIEPRZ ROŚNIE - ORKAN 16. RZUCIŁY PRZECZ NARZECZONA - CZAR

SKLEP INTERNETOWY

amazonka.pl

książki, muzyka, filmy, gry

Ponad milion tytułów. Najniższe ceny w Internecie. Dostawa w 24 godziny.

www.amazonka.pl

Nagrodą za rozwiązanie krzyżówki jest **10 bonów** - o wartości **50 zł** każdy - na zakupy w sklepie internetowym www.amazonka.pl

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię, nazwisko i adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Presspublica Sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów lub usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również zgłoszenia zaprzestania przetwarzania danych. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

LAUREACI Z NR. 51/51

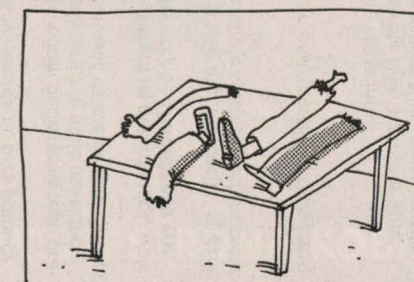
Andrzej Kozarzewski, Pułtusk; Adam Wnęk, Olsztyn; Aleksandra Wolnik, Wrocław; Wiesław Pyżewicz, Zielona Góra; Inga Chlewicka, Warszawa; Katarzyna Polachowska, Piła; Krzysztof Helewski, Dąbrowa Górnicza; Zofia i Michał Bajkowie, Białystok; Grażyna Miller, Olsztyn; Monika Kuraś, Legnickie Pole.

W hasłach do diagramu nr 1 „zjedliśmy” objaśnienie ostatniego wyrazu, 15 pionowo: W KAMIENNYM KREGU - GŁAZ. Mając nadzieję, że nie zostaniemy przez fanów krzyżówki ukamienowani, ufamy, że reszta roku będzie dla nas i dla nich łaskawsza niż jego początek. Redakcja.

BRACIA M

BARTOSZ I TOMASZ MINKIEWICZ

WWW.FACEBOOK.COM/WILQSUPERBOHATER



STÓŁ Z POWYEMYNIANYMI NOGAMI



Boskie uda latem

URODA

CIEKAWSZA STRONA KOBIECOCI

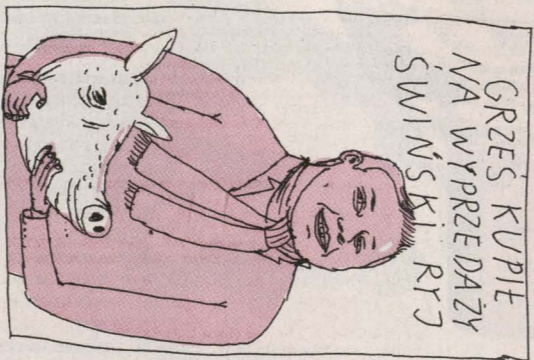
kobieta.wp.pl

Z N O W O R O Z M A I T O S C I

RACZKOWSKI
NA KONIEC



NIE TAK: JAN KOZA



TWÓJ PRZEKRÓJ
Zdolny i młody (duchem, a nawet ciałem) Człwiku, czekamy na www.przekroj.pl oraz pod adresem: twój@przekroj.pl, a także na Facebooku – Fan Page „Twój Przekrój”.

RETROSPEKCJA

NA WAGĘ

Oglaszanie zamieszczone w „Życiu Warszawy” z Volkswagen 600 kg sprędan. Po le klagram! (Nadskat: W. Worobielu)

O WACUSIU
Palczak ma tak pieknie inteligentnego psa, że le razy pies natychmiast biegnie do biura reżyżerialnych.

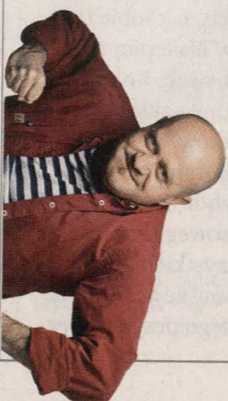


Sherlock Holmes: Gra cieni
(spektakl w dołby surround)
Występuje SHERLOCK HOLMES – detektyw
SHERLOCK HOLMES: Oto próbuję rozwiązać tajemniczą sprawę...
Wybuchy.
SHERLOCK HOLMES: ...za którą bez wątpienia stoi ten drań Moriarty...
Pościigi.
SHERLOCK HOLMES: ...wszelakoz z uwagi na te cholerne hałasy...
Strzelaniny.
SHERLOCK HOLMES: ... wrócę czym prędzej do domu, a dla świętego spokoju rozwiążę krzyżówkę.
Wraca, rozwiązuje, zasypia.
KURTYNA zapada wraz z biogą ciszą.
Owacje.

ROMAN KURKIEWICZ

Człowiek, ale jednak dziennikarz

LEWO MYSLIWE



Dylematy, wahania, rozterki, pęknięcia, wątpliwości, bo z jednej strony ja, a z drugiej też ja, ale jakiś inny...

Jako człowiek nie wierzylem ani przez moment, że to było samobójstwo. Kolejne mięszące, bezczynność prokuratury, ślepe tropy policji, bezdušność władz, milczenie mediów tylko mnie utwierdzały w tym przekonaniu. Ale jako dziennikarz nie mogę ferować wyroków, muszę wyważyć, muszę stać obiena rękoma, czyli nogami, twarodo na ziemi, na gruncie faktów.
Jako człowiek widzę krzywdę.
Ale jako dziennikarz nie mogę ulegać żadnym emocjom, ani fałszywym, ani innym.
Jako człowiek widziałem, że walczy o dobrą sprawę, o rozwiązanie problemów innych ludzi. Że robi to z pasją i oddaniem.

Ale jako dziennikarz muszę czytelować sądy, zachować ostrożność, wyważać rację obu stron, balansować na krawędzi wiarygodności i linie pewności.
Jako człowiek byłem przerażony metodami, przy pomocy których z nią walczone.
Ale jako dziennikarz jestem świadom obowiązującego prawa i mam szacunek dla jego instytucji, nie mnie oskarżać. Nie mnie oceniać. Nie mnie przerywać milczenie. Nie mnie poganiać.

Jako człowiek byłem pod wrażeniem jej determinacji, woli walki, odwagi i nabytych kompetencji bez formalnego wykształcenia.
Ale jako dziennikarz rozumiem linie argumentacji i logiczne wynikania, moc przepisów, ducha praw, ich wszechmošność i oczywistość.
Jako człowiek zapłakałem.
Ale jako dziennikarz posiłem porozmawiać z drugą stroną.

Jako człowiek wierzyłem jej.
Ale jako dziennikarz daje wiarę także im.
Jako człowiek wiem, że to ona nie żyje, a oni triumfują, mają się dobrze, bo mają coraz więcej. Nikt im nie brzdzi. Ale jako dziennikarz nie mogę tego mówić.

Coś z tym byłem człowiekiem jest nie tak. Przyznacie sami...

„Przekrój” z 11 STYCZANIA 1970 R.

„Przekrój” z 8 STYCZANIA 1989 R.

Archwalne numery „Przekroju” można (a nawet powinno się) przeczekać na www.przekroj.pl oraz w aplikacji „Przekrój” na iPadzie dostępnej w App Store

HP Pavilion dv6-6b66ew

z procesorem Intel® Core™ i7-2670QM

intel inside™

CORE™ i7

Zauważalnie
Inteligentny



Klasyfikacja procesorów



BATTLEFIELD 3

W PREZENCIE!

The game is **on**



SFERIS

Everybody On



więcej na www.SFERIS.pl

Znajdź nas na
facebooku

